

Nr 2 (61)
2015



ISSN 1732-1069



PEGAZ LUBUSKI

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA IM. ZBIGNIEWA HERBERTA
ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH – ODDZIAŁ W GORZOWIE WLKP.

POLECAMY TEN NUMER! JEST PEŁEN POEZJI I POETÓW. ŻYWYCH I MARTWYCH, bo JEDNI POECI
ODCHODZĄ I KOLEJNI PRZYCHODZĄ. ŻYWI POECI na BIEŻĄCE LATO TO ROMAN HABDAS z GO-
RZOWA i ARES CHADZINIKOLAU z POZNANIA. POECI I PISARZE LUBUSCY ŻEGNAJĄ POETĘ MIE-
CZYŚLAWA WARSZAWSKIEGO z LASEK POD ZIELONĄ GÓRĄ, a GORZOWIANIE POETĘ I MUZYKA
ROMANA WOJCIECHOWSKIEGO. DEBIUT I PO DEBIUCIE. NOWE KSIĄŻKI GORZ OWSKIE
oraz KRONIKA ŻYCIA LITERACKIEGO I WYDARZEŃ KULTURALNYCH WOKÓŁ LITERATURY.



WŁADYSŁAW ŁAZUKA

Sen

W brzożach zielony wiatr
łan żyta pachnie
chlebem

czerwi się w sadzie
czerwiec
już od świtu
nowego lata

Ścieżką przez pole
Idę do domu
– jestem małym chłopcem

Przebudzony
wiem
że to był
tylko
s e n...

Marek Grewling

MASAKRA I DOMY

Na temat kobiet możemy śmiało powiedzieć, że są one najtrudniejszym do zdefiniowania stworzeniem tego świata. B ywają złośliwe, kapryśne i niepojęte dla mężczyzny. Stąd tyle napięć, tyle nieporozumień, tyle prz zeróżnych tragedii z ko-
bietą w roli głównej. I nic na to nie poradzimy .
Po prostu. Albo kobietę akceptuję taką, jaka jest, albo muszę pozostać sam. Tertium non datur. Kobieta zatem trudną jest, czego nie ma potrze-
by udowadniać. Jest jednak pewne „ale”. Otóż ta niepojęta dla prz ziętnego mężczyzny osoba – czytaj kobieta, dysponuje czymś, co jest nie -
osiągalne dla większ ości mężczyzn. Mam konkretnie na myśli damską wrażliwość. A nie jest to wrażliwość przeciętna, tak samo jak niepr ziętne są pokłady uczuć, empatii i co najważniejsz e – intuicji.

Cały ten wywód ocierałby się o banał, gdyby nie miał odniesienia do konkretnej osoby, w tym przypadku do pisarki. Zgadzam się z kr ytykiem Janem Marxem (pseudo: Marcin Kogge, Michał Küchmeister, Konrad Lang, M ikołaj Morski), który bardzo wyraźnie oddziela tak zwaną literaturę mężczyzn od literatur y uprawianej przez kobiety. Owszem, mam r ównież świadomość, że takie war tościowanie trąci wręcz seksizmem. Lecz nie to jest osiłą niniejsz ego eseju. P isząc o psychicznej i intelektualnej specyfice literatury wychodzącej spod ręki pań, mam dzisiaj na myśl znaną i na sz części docenioną pisarkę naszego pokolenia, Olgę Tokarczuk. Konkretnie zwróciła ostatnio moją uwagę poprzez wydaną już kilka lat wstecz książkę „Dom dzienny, dom nocny”. Jest to lektura obszerna objętościowo, ale też przykuwająca uwagę czytelnika tym właśnie, co stanowi atut kobiety – pisarki. Nie zamierzam streszczać zawartości tej książki. Jednak z całą życzliwością zwróciłem uwagę na specyficznie piękną i zajmującą odbiorcę dzieła mentalność, która odbiega od przeciętnego i jakże często spłaszczanego obrazu świata, tego r ealnego, duchowego i tego zwyczajnie wyimaginowanego przez pisarkę. Tokarczuk nie próbuje kokietować czytelnika ani też uwodzić tanimi literackimi chwytami. C zytając „Dom dzienny, dom nocny”, odnosi się wrażenie

BYŁOBY MIŁO...

Spotkaliśmy się ostatnio dwa razy: w podobnej liczbie delegatów na Zjeździe w Warszawie i drugi raz w połowie drogi między Gorzowem a Zieloną Górą – w Paradyżu (!), tam gdzie przed laty nad równowagą obu lubuskich stolic radzili politycy.

Dwa Zarządy organizacji pisarskiej ZLP postanowiły, że chociaż już od dawna są, będą na przekór niesprzyjającym równowadze podziału środków na kulturę i sport dalej wzorem nieantagonistycznej, nieszowinistycznej współpracy na rzecz twórców, odbiorców ich dzieł i narodowej kultury. I że będziemy, na ile to możliwe, wspierać się w walce o uzdrowienie urzędowych procedur wypaczających sens nagród i grantów na działania upowszechniające nasz dorobek twórczy. To odpowiedź na moją relację w poprzednim „Pegazie” z uroczystości przyznawania Lubuskich Wawrzynów, która pozytywnie poruszyła koleżeństwo zielonogórskie. Postanowiliśmy częściej spotykać się „w połowie drogi”. W naszym Zarządzie powierzyliśmy ten problem Jerzemu Alskiemu, uznając, że może znacznie poszerzyć tematykę jego stałych felietonów w „Pegazie”. Literatom z Zielonej Góry postanowiliśmy oddawać nieco więcej miejsca na łamach, co już dzisiaj uwidoczniło się w tekstach wspomnieniowych o niedawno zmarłym Mietku Warszawskim – przyjacielu Kazika Furmana.

Pozostaje nierozwiązany problem wsparcia czy uczczenia jubileuszy naszych twórców wyszczególnionych w moim poprzednim felietonie, gdyż urzędnicza komisja przyznała naszej organizacji zebraczą kwotę 2400 zł na kontynuację uznanej serii wydawniczej Biblioteki Pegaza Lubuskiego. Seria ta na przestrzeni 10 lat objęła 70 książek, dzięki którym odrodziło się środowisko pisarzy gorzowskich i powstał samodzielny, liczący dziś 26 członków Oddział Związku Literatów Polskich. Rozmawiałem o tym z prezydentem Gorzowa. Rozważy możliwość dotowania naszego czasopisma w proponowanym przeze mnie kształcie obejmującym zasięgiem wszystkich twórców Gorzowa i okolic niezależnie od uprawianej dziedziny sztuki, powiększoną objętość i częstotliwość wychodzenia drukiem z bezpłatną jak dotąd wersją *online*. W sprawach kultury wydaje się konieczne powołanie przy prezydencie rady kultury złożonej z przedstawicieli zarządów związków i stowarzyszeń twórczych. Podobnie powołanie komisji nagród i stypendiów z osób znających potrzeby twórców. Byłoby miło, gdyby się spełniło...

Ireneusz K. Szmidt



przyglądania się patchworkowi, który dodatkowo urozmaicony jest świadomie zróżnicowaną fakturą. I tak nawet niezbyt uważny czytelnik odnajdzie w prozie Olgi Tokarczuk impasty, frottage, frazy wypolerowane i wyczelowane, ale także świadome użycie języka potocznego czy też archaicznego. Tokarczuk pokazuje klasę i nieprzecenioną wartość intelektu i intuicji tak literackiej, jak i po prostu ludzkiej. Streszczając: warto sięgnąć po „Dom dzienny, dom nocny”, aby razem z autorką tej intrygującej powieści poznać zakamarki własnej mentalności i odkryć piękno umysłu Tokarczuk.

Skoro już rzekło się o damach, niech i panom coś się dostanie. Krzysztofa Vargę poznałem poprzez jego dzieło „Trocinę”. Rzec przeczytałem z niekłamanym zainteresowaniem, tym bardziej że w wielu momentach przytaknałem poglądom tego pisarza. Pisarz niebanalny, poglądy – niezależnie od tego, czy się z nimi zgodzimy, czy nie – wyraziste. Książka jest pewną próbą zdefiniowania stanu umysłu i psyche Polaków dnia dzisiejszego. Ale dość o „Trocinach”. Gdy zobaczyłem w księgarni nową powieść Vargi „Masakra” wydaną w tym roku, nie zastanawiałem się ani chwili i oczywiście wszedłem w tę lekturę. Cóż powiedzieć? Zawód poniosłem srogi. Najzwyczajniej na świecie nie spodziewałem się po takim pisarzu takiej „Masakry” i w przenośni i dosłownie. Rzec dzieje się pewnej nocy we współczesnej Warszawie, a bohaterem jest niedopity alkoholik, który wędruje przez miasto i na różne sposoby próbuje uzupełniać stan alkoholu w organizmie. Jeśli dobrze pojąłem *omnia operatio claudica est*, rzeczony bohater jest jakby alter ego autora powieści. Właściwie osią dzieła jest alkohol. Bohater Stefan spotyka podczas swej wędrowki przez stolicę różnych, przygodnych i rzeczywistych znajomych. W pewnym momencie tej lektury opisy picia trunków i analizy ich wpływu na samopoczucie Stefana alkoholika i jego znajomych zaczęły mnie po prostu nużyć, a następnie wręcz irytować. Gdy do tego rozpasania konsumpcyjnego, że użyję eufemizmu, doszły jeszcze bełkoty o Polsce, o polityce, gospodarce, o (proszę wybaczyć) narodzie polskim jako takim, poddałem się. Gwoździem do tej *nomen omen* „Masakry” jest język. Owszem rozumiemy doskonale, że bywa potrzeba użycia wulgaryzmu czy frazy jakiegos slangu. Ale na wszystkie bóstwa fenickie i babilońskie – nie przez pięćset stron. Zawiodłem się na Krzysztofie Vardze i mimo że nadal uważam go za jednego z bardziej wartościowych prozaików polskich, to z przykrością stwierdzam, że „Masakra” to rzeczywiście masakra.

Marek Grewling



Powietrza trzeba, lazuru nieba, forsycji słońca

Blisko, coraz bliżej do atolu za miastem. Protektory opon znaczą ślady na drodze zrytej racicami bydła. Żdźbła traw i pierwsze stokrotki znikają z łąki. Wieczorem popłynię mleko.

Na widok kałuży zmiana biegu. Dwójka, trójka, dalej przez las. Dukt brukowany szyszkami. Tu i tam zrzucane zawiejami reje konarów. Cienie i blaski.

Wyłączam radio.

Porozpinane na masztach sosen korony zdają się więcej głośnić. Do przystani z keją przy lipie ćwierć mili, nie więcej. Już widać zalew i kadłub barakowozu z napisem Windsor...

Cumuję jak zawsze,

pośród masztów drzew rozciągam olinowanie. Zawieszę na klamerkach latacz jaśka, kierunek wiatru wskaże. Obok bezan poduszki, nadętą genuę kołdry.

Niech popłynię z bagsztagiem w ton lasu wilgoć.

Uchylonymi bulajami pozimowy zaduch messy.

Powietrza trzeba, lazuru nieba, forsycji słońca.

Chwili na kapitańskim mostku,

dla bujania warg po kubku z orientem czarnej herbaty. Wygrabiania zbutwiałych fal igliwia i liści z pokładu ładu.

Rozbujania hamaka i krótkiej drzemki. A po niej, szklaneczki czystej. Niech trunek przemówi haustem do pustki trzewi, zanim kielbasa z ogniska wyparzy gębę, nim kubki smakowe napełnią się dymem. Przed mrokiem dnia, przyjdzie jeszcze sklarować żagle, a oczy zwolnić z cum. Niech dryfują w księżyc nad bocianie gniazdo, bo przypląły świtanie wnet uchylili powieki, zwiedzie na kładkę.

Szczęśliwszy o miniony rok, znowu uzbroję ochotką haczyk, zarzucę wędkę. Bryza przywoła fale.

Spławik zanurzy spojrzenie.

Weekend. Niedzielne przedpołudnie w Zemsku

Po sobotniej nocy nie zakładam kapelusza z czaplim piórem. Na wodzie jednego mniej do pozdrowień i pytań, czy biorą? Steruję na Zemsko.

W czwartej ławce, to pewne, usiądzie Michał. Chłop jak baryła. Ma słuszny wzrost, wagę, adekwatne nazwisko.

Na znak pokoju podaje szuffę dłoni. Bezinteresowny. Podzielił się trylinką i wiśniami. Dźwigałem dwa wiadra. Panu Bogu oddał nawet żonę. Nie było mu łatwo.

Wiejskie kobiety sadowią się na wyścielone poduszkami swoje miejsca. Ich mężowie mają w tym czasie wiele zajęć.

Niektórzy leżą. Obok lokalnej drogi trzeciej kategorii odśnieżania, jest cmentarz.

Najbliżej ołtarza siadają wiercipięty.

Takie aniołki przed pierwszą komunią świętą. Za nimi przyszczate wyjątki, które stanowią regułę.

Kilka ławek świeci pustkami, bo jak wszędzie, pierwsza komunia była dla wielu ostatnią.

Po błogosławieństwie, ksiądz nie ma czasu na pierdoły.

Zagada tylko i pędzi do Popowa z tym samym kazaniem.

Gospodarzy, jeśli dopisze pogoda, zajmie pod furta kościoła polityka, ceny zboża i żywca.

Młodzi pomyślą o piwie.

Pan Michał przywita się, pokaże w uśmiechu zęby, spyta:

Co słychać? I wsiąknie za furtkę obejścia,

ja redukując biegi w polną drogę.

Na rozstajach pozdrowię ukrzyżowanego i dalej duktem ku kołowrotkom przyjemności, i haczykom tygodnia.



Każdy może mieć Windsor, nawet Wersal

Wystarczył haust wyobraźni i zobaczyłem coś więcej niż ściany z drewna, podłogę dwa na trzy metry kwadratowe i sześć bieżących barakowozu. Wszystko pod papą.

Zamki jak trzeba. Klamki przy drzwiach, okna zasłuchane w noc i dni. Rzeškość świtów, letnia kuchnia, zimna woda z pompy.

Tylko podstawić łysinę, ostudzić ogrom pragnień. Tak bywa, że nie sprzyjam szczęściu nadmiarem marzeń ubranych w kredyty. W każdym wymiarze szerokości geograficznych luksus ma swoje oblicze. Do nas należy wybór półki, z której zgarniamy satysfakcję.

W Windsorze ich nie brakuje.

Podobnie jak stołu i schowków na różne okazje.

Lokaja nie trzeba.

Okiem sięgniesz, znajdzie się fajans i zawsze najlepsza pora na herbatę. Miejsce zobowiązuje.

Zdarza się, że dzień strąci deszcz z natłoku ciężarnych chmur.

Powieje od Popowa chłodem. Wtedy ryby stają na głowach. Zalew Bledzewski hula, a ja, nakładam polar, rękę wsuwam do dziupli w szafce, gdzie Pliska ma swoje gniazdko.

Rozgrzewa jak Słoneczny Brzeg, wcale nie gorszy od francuskich.

Balkański klimat, wyraźny bukiet. Tylko dobrze ogrzać lampkę, a ciepło wnika w każdy palec.

Fale żaru z piecyka w najmniejszy kącik komnaty.

Pospołu uraczą gębę.

I czego tam więcej chcieć.

Ekfrazja z obrazów pamięci

Wiosła zafalują i jedwab porostów na żerdziach kładek.
Trzcina złamana wiechą, po lustrze zalewu. Uniesiona ręka
zygzakiem, pień olchy, zaskroniec. Głowy odbicie plamą.
Tani landszaft, droga rama.

Obrzeża zatoki dosięgnąć można jeszcze, jeszcze... już nie.
Blżej zagon rdestnicy trawą szczupaczą nazwanej. Dno łodzi
węgami scalone ugniata wodorosty, klepką dębową kila wyniosłość
pąków, przeskakuje cieniem, rozprasza rybi drobiaz.

Burty od pawęży po stewę, ledwo zatopione.
Płynię słowo za słowem w dół kartki, szeroko,
Obrą Zalew Bledzewski między wzniesieniami i dalej
do progu zapory. Od stu lat porusza turbiny Kaplana i Francisa.
Wyspa.

Od strony chycińskiej brzoza pochyłona. Markizami nawisów
szarych olsz i czarnych. Szelestem powiązana, kłęczami, korzeniami
brzóz omszonych i ściegiem korytarzy mrówek. Tkana kruchą
wierzbą, kruszyną przetykana, trzepotaniem skrzydeł.
A śpiewa, a kukułczy, a brosze gniazd w konarach. I szafir zimorodka,
który mgniemieniem w oku,

kiedy wzrok przykuwa rozdzierana tafla. Szkło pęka od dołu,
gejzer strzela w niebo, można dostrzec w fontannie czerń pletwy
bolenia; zapomnieć o ciszy.

Wyspa koncertuje swoją filharmonią,
zmienny repertuar każdej pory roku. Wystarczy tataraków
do tańca z szabłami, pałek wąskolistnych, czyneli z grzybieni.
Koszykami łączeni zastawione proscenium. Na dywanach z rzęsy
tężnice wytworne, wyżej ważki, żagnice, drżą skrzydeł tiulami,
zastygają w locie, zawisną na łodydze.

I ważkie odrzną ważne odbyć gody.
I złożą w kłęczach kosaćców owoce zapłodnione. Raz, dwa, raz – po-
ślizgiem, uginając wodę, unikając koncertu na żabie języki, nartniki
w smokach – tak przystoi pluskwiakom. A nocy kropla majowo-
czerwcowych, a kumakom chórzystom owacje na stojąco.
Wystarczy! Mamy gości – krzyżówki nad sitami. Przysiadły, a
wzlata siwej czapli płochosć i niemy krzyk łabędzi okryty trzcina-
mi

przy gnieździe zapisklonym.

Odbój!

Na zachód ku Strudze Jeziornej,
pod cypel dla biwaków, tam harcerzy zastęp
obozem wyrasta, a trąbka sygnałem. Po drodze na wzniesieniu,
w bukach koron orłęta, znacznie niżej, w głąb ziemi,
grodziska wspomnienie. Resztek ruin piwnicy domku myśliwskiego,
mroku czasów i tropów do brunatnej przeszłości...

Jasność nieba i myśli,
wiatr Zefirem kołysze, łódź dryfuje w obłokach,
blejtram kartki w zapisie.

Szkic bledzewski

Zacznę od mostu na Obrze, którego nie przesuniesz,
nie uchyliš. Wpisany w rejon umocnień zastyga rollkami.
Rzeka odwiecznie płynie. Strzałka wodna wskaże kierunek.
Margines brzegów oparty o stadion rozkwitnie w lipcu
dziką miętą. Stąd, spacerkiem do świętego Nepomucena
dwie tajemnice światła. Patron tonących i mostów,
świadek przemian, patrzy z cokołu w ograbiony z kocich łbów
rynek. Od lat uprasza łask wszystkim, którzy na uboczu świata

przeklinają miejsce narodzin, i pokornemu,
który ubocze świata błogosławi.
Tutaj jak wszędzie, młodzi na rowerach, ponoć z wystawek.
Smakosze nalewek puszą się w bramie. Koty wygrzewają
starość parapetów, a psy szczekają na obcych,
bo swoi nie szturmują kościoła lufami obiektywów.
Pomiędzy liniami demarkacyjnymi parkingu,
wozy gorsze i nowsze. Baner bankowy straszy kiepskim
procentem. Nie zaszyje dziury w kieszeni, ani dachu
pobliskiej kamieniczki. Końca z końcem nie zwiążesz
syczą miejscowi, chyba że znajdziesz jakąś rolę w Berlinie.
Wtedy sąsiadom zagrasz krezusa, postawisz kumpłom sześciopak,
dzieciakom czipsy i lody. Ogólnie bieda.
Taka duża wieś, choć kiedyś miasto na rogatkach Polski.
Czas przeszły dokonany, oparty na cystersach. Swoje zrobili.
Klasztor runął, kamienie milczą. Historia w księgach
i wątki u Igielskiej, w opowiadaniach Bon Voyage.
Połyskuje w nich cukiernica Berty Kuntz, kobiety z Blesen.
A teraz jeszcze ten wiersz z poranioną przez sowietów
wieżą świątyni. Na niej gniazdo bocianie, symbol powrotów.
Poniżej gniazdoulantek, siostr od Jezusa,
zawsze Miłosiernego. I dokąd stąd pędzić,
i za czym gnać...

Blesen – niemiecka nazwa Bledzewa

Świątynia na rozlewiskach Strugi Jeziornej

Wypatrzyć czarnego dzięcioła na ambonie sosny nie łatwiej
od wypływu Strugi z chycińskiego jeziora. Oczy wykolić
przyjdzie, by trafić dziobem łodzi w gęstwę zasłony.
Ta pęknie i nurtu leniwość poniesie główną nawą.
Wybarwione freskami ściany otworzą ciekawość.
Tylko nie zmacić osadów z przydennych krypt.
Wywłóczników wiosłami nie splatać, nie pleść
językiem, a chóry owadzie zewsząd usłyszysz
i własne myśli.

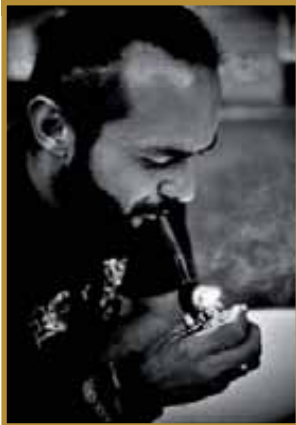
Unosząc głowę

dojrzyysz na sklepieniu orlika, zmrużysz oczy,
dojdzie do uszu śpiew bąka. W zadumie doczekasz
mroku i głębi nocy, w której pałek wąskolistnych gromnice
brązem dojrzewają, podobnie owoce kaliny na obrzeżach
mokradeł. W przedświcie, taka bezwietrzność zawisnie,
że wiechy trzciny zastygną jak Kapucyni w czas Jutrznia.

Brzask rozwiąże skrzydła krzyżówkom, poderwie
dostojność czapli, przeniesie na uschnięty świecznik
pochylonej brzozy. Z bocznych ołtarzy wypłyną wybielone
albami łabędzie. Za nimi monstrancja słońca przeświekli
korony drzew i nanizane na pajęczce nitki paciorki rosy.
Adoracja trwać będzie do pierwszego szelestu olszyny
skarłalej. Wtedy dzwonki listowia rozbudzą ślimaki
w niszach muszli. Powiew, ledwo, ledwo zmarszczy
taflę, orzeźwi zachwyty.

Powagę celebry przerwie kajak za kajakiem,
wiosło za wiosłem. Usłyszysz jazgot pielgrzymów.
Zostanie już tylko zacisnąć pięści, usta zacisnąć,
przełknąć przekleństwo z końca języka,
którym tak łatwo ugodzić w ciszę.

Zburzyć świątyni majestat...



Ares „Jah Ares” Chadzinikolau (ur. 1973 w Poznaniu) – poeta, pianista, kompozytor, tłumacz, prezes Zarządu Oddziału ZLP w Poznaniu, zasłużony dla kultury polskiej, lider i wokalista Ares & The Tribe i Ares Chadzinikolau Trio. Wykładowca Akademii Muzycznej w Poznaniu. Posiada tytuł doktora w dziedzinie nauk humanistycznych. Syn pochodzącego z Grecji poety, pisarza i historyka literatury, Nikosa Chadzinikolau.

Wielokrotny stypendysta MKiDN. Wykładowca języka greckiego i przedmiotów zawodowych w Akademii Muzycznej.

Uczeń prof. B. Nowickiego, prof. H. Czerny-Stefańskiej. Liczne koncerty w USA i środkowej Europie. Wydał ponad 30 książek, m.in.: *Z twarzą słońca* (1997 – I nagroda XX Międzynarodowego Listopada Poetyckiego), *Syn Prometeusza* (1998), *Panta rei* – antologia poezji greckiej (2001), *Polsko-greckie związki kulturalno-literackie w ciągu wieków* (2001), *Między brzegami* (2003), *Literatura nowogrecka XX wieku w przekładach polskich* (2003), *21 kobiet* (2007, w 4 językach), *Laur Wielkopolski* (2002) i *Laur Olimpijski* (2004), *Aforyzmy i Haiku* (2012). Przetłumaczył kilkanaście tomów greckiej i polskiej poezji. Nagrał 15 płyt CD, m.in.: *Perły fortepianu* (1997), *Sny o Grecji I i II*, *Piano Impressions*, *Tańcz jak Zorba*. W 2014 r. przetłumaczył 600-stronicowy bestseller Jannisa Kalpuzosa „Imaret” o XIX-wiecznej Grecji, zredagował i wydał „*Wiersze zebrane*” Nikosa Chadzinikolau (ponad 1500 s.). Na XXXI Zjeździe ZLP wybrany wiceprezesem Zarządu Głównego.

W NASZYM DOMU

W naszym domu nie było mroku nawet nocą
a na oknach rozświetlona hostia rozpraszała złe chwile.

Nie panowało tu złowrogie milczenie,
ani zatęchłość myśli podobna do niektórych domostw,
lecz radosny tupot bosych stóp
i śmiech rozbawionych dzieci.

Mieliśmy heliosowe słońce ulepione przez moje córki
które zwierciadlanie przepowiadało nasz los,
obrazy z greckim niebem pogodnym jak oczy babci,
liczne księgi i święte ikony, co obnażały nasze dusze.

Lira Apollona kołysała cienie drzew
w blasku pomarańczowych świec,
a cynamonowy zapach pomnażał miłosne chwile.

W ogrodzie rosła balsamiczna winorośl
ze świątyni Dafne zasadzona ojcowskimi rękami
i trzy cyprysy zrodzone z kastalijskich szyszek
jak w delfickim kręgu.

Były też różnorakie zioła, hortensje
i wyhodowane przez dziadka róże.

I choć nie mieliśmy złota, lichtarzy
i drogocennych kamieni
nasz dom był zaciszną przystanią
dla każdego takiego włóczęgi
jak ja.

ALEKSANDRYJSKI GREK

I.

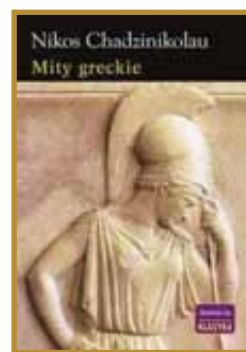
Aleksandryjski Grek
idzie wąskimi ulicami
portowego miasta.
Patrzy na obejmujących się
i całujących ludzi.
Już dawno nikt nie pieścił
jego włosów, które
tak posiwiały tej wiosny.
Teraz tylko wiatr
o nim pamięta
goni i supła jego
urywany oddech.
Grek w pośpiechu
pewnie znowu się potknie
o następny, wystający
kamień.

II.

Aleksandryjski Grek
siedzi w tawernie
nad brzegiem morza
pije wino.

Słońce doświetla zszarzałe źrenice.

Popatrzył na kochanków
przy sąsiednim stoliku.
On też kiedyś tak kochał
bezwstydnie.
Teraz odchodzi jak fala
daleko w morze
głęboko, coraz
głębiej.



OBRAZ

Wystrugałem ramy,
by oprawić i tamtą chwilę,
podobną do winogron
pękających w słońcu,
gdy nasze opalone ciała
przyjęły narkotyczne ruchy
i zatraciliśmy siebie.

Obraz powiesiliśmy nad łóżkiem
obok innych oprawionych chwil
z których przyrzekliśmy układać
nasze życie.

2 maja 2015 r. w Zielonej Górze zmarł Mieczysław Warszawski. Poeta. Pisał też opowiadania. Poetą był przede wszystkim. I to jakim! Jego wiersze drukowały te najbardziej cenione, najważniejsze czasopisma literackie. Ostatnio „Twórczość”. Kto nie poznał go osobiście, a spotykał Kazimierza Furmana, może uznać, że znał i Warszawskiego. Byli podobni: pod względem wieku, wykształcenia, rodziny, twórczości. Łączyła ich przyjaźń, o jaką nie jest łatwo między poetami.

Gdy zostałem mieszkańcem Zielonej Góry, a było to w poło wie lat siedemdziesiątych, i pierwszy raz przeczytałem wiersze Warszawskiego, nie miałem wątpliwości, że wyszły one spod pióra i z głowy prawdziwego poety. Spytałem go wtedy albo kilka miesięcy później, na kim się wzoruje, miałem na myśli poezje. Nie wierzyłem, że ten wiersze pisze mężczyzna, który nie skończył szkoły średniej, nie ma matury. Odpowiedział, że lubi poezje Tadeusza Różewicza. O tym, że są i inni autorzy wierszy, wie. To mu wystarcza. Na nikim się nie wzoruje. Niewiele obchodzi go recenzje, opinie, sądy, analizy krytyków. Pisze o tym, co jest wokół niego. Co go męczy i cieszy. Co widzi. Co słyszy. Co mu przychodzi do głowy wtedy, gdy wraca z Wodociągów do domu i gdy sięga po piwo. A że najczęściej przychodzi mu do głowy wiersze, to je zapisuje długopisem na kartkach. Potem przepisuje na maszynie i wysyła do „Poezji”, do „Odry”, do „Twórczości”. Jak się ueziera na tomik, niesie do wydawnictwa.

Pisał o sobie. Tylko o sobie. Że jest mu ciężko, ale nie narzeka. Brakuje mu pieniędzy, ale sobie radzi. O odchodzą znajomi, ale nie jest sam. Choruje, ale omija lekarza. Nie znauczonych, urzędników, polityków, księży. Nie umie prosić o pomoc. Do nikogo nie wyciągał ręki. Był więźniem siebie samego. Pisał: „Jest mi wszystko jedno / do której ze stron świata jeszcze nie / przynależę. // Jeszcze niejedno przeciwzakolysze się / nade mną”.

Ostatni raz spotkałem go jesienią. Śmiał się, że nie wie, co najpierw kupić: węgiel czy chleb. Jeśli kupi węgiel na zimę, to nie będzie miał na chleb. A jeśli kupi chleb, to nie będzie miał na węgiel. Nigdy się nie poddawał. Padał i się podnosił. Sam. Zawsze lub prawie zawsze o własnych siłach. Przychodził czasem do mnie po pieniądze. Zresztą nie tylko do mnie. Na bilet do Lasek Odrzańskich, gdzie mieszkał. Na papierosy. Na piwo. Na początku każdego miesiąca zwracał dług. Mówił, że oddaje tyle i tyle, bo tyle mu pożytyłem. Może zapisywał, ile od kogo pożyczył.

W moim pokoju na półce stoi 17 książek Warszawskiego. W jednej z ostatnich „Persona non grata” napisał dedykację: „Przyjacielowi Alfredowi Siateckiemu, z którym zawsze byliśmy sobie nigdy persona non grata, ściskając dłoń – Mieczysław J. Warszawski”. W tym zbiorze jest wiersz „Między wierszami”. Poeta pisze tak: *Cały jestem między wierszami aż po margines / Stamtąd jednak wychodzę czasami na drugą stronę tej / Czy tamtej kartki aby znów pobyc / Między wierszami więc czytaj mnie / Mój czytelniku czytaj od a / Do zet.* PS. W tomiku „Unicestwienie” wydanym w 2007 r. jest wiersz „Bez osobowości, czyli umajona mrzonka”. Zaczyna się on tak: „Dobrze byłoby umrzeć / W maju”. Mieczysław Warszawski zmarł 2 maja 2015 r.

Alfred Siatecki



CZYSTY JAK ŁZA

Szóstego sierpnia ukończyłby 65 lat. Debiutował jako poeta w lubuskim „Nadodrze”, gdzie kierowałem działem literackim i wszystkie wiersze, opowiadania czy fragmenty powieści drukowane na łamach tego czasopisma przechodziły przez moje ręce. I to były początki, jak się miało okazać, bardzo długiej naszej znajomości. Mietek, licealista, młodszy o szesnaście lat, patrzył z pewnością na mnie jak na starego już faceta.

Na książkowy debiut czekał nieomal 10 lat, bo do roku 1976. I znowu spotykaliśmy się częściej. Jego „Otwarcie żył” ukazało się

nakładem Lubuskiego Towarzystwa Kultury w Zielonej Górze, w którym jako jedyny pracownik merytoryczny pełniłem również funkcję kogoś w rodzaju redaktora, wydawcy, pierwszego czytelnika przynoszonych do Towarzystwa rękopisów czy maszynopisów.

Mietek w twórczości rzadko przekraczał granicę swojej biografii. Wystarczało mu własne życie. Uprawiał tak zwane życiopisanie. Za centrum tej niekończącej się poetyckiej przestrzeni uważał swoją najbliższą ojczyznę, niewielkie Laski Odrzańskie, małą wieś niedaleko Czerwieńska, które, jak nazwa mówi, przylgnęły do Odry, nie zawsze łaskawej dla okolicznych mieszkańców. W Laskach się urodził, wychował i do Lasek zawsze powracał. To był – oprócz krótkiego pobytu w zielonogórskim hospicjum – jego jedyny adres zamieszkania. Jeden ze zbiorów wierszy, żeby nie było wątpliwości, nawet zatytułował „Odrzańskie”.

Same tytuły tomików poetyckich Mietka mówią o nim bardzo dużo. Owo „Otwarcie żył”, jakby otwarcie, początek życia, ale i „Cztery ściany bezdomności”, „Gość samego siebie”, „Na przekór żywiołom”, „Przyziemność”, „Zaledwie niczyj”, „Persona non grata”, „Zamieszkałość”.

Z pozoru, z wierzchu mógł się wydawać obojętny, szorstki, w rzeczywistości był bardzo wrażliwy, traktujący wszystkich z empatią, czego dowodem są jego wiersze. Wysokiej, artystycznej rangi.

Z czasem, jak to często u poetów bywa, nie mieścił się już w krótkich, złożonych z kilku wersów wierszach. Napisał i opublikował kilkadziesiąt udanych opowiadań o tematyce autobiograficznej, jak chociażby „Bezrobotny Syzyf” czy „Codzienna podróż pociągiem”. Mietek zamieszkały z rodziną w Laskach istotnie niemal codziennie jeździł pociągiem z Czerwieńska do Zielonej Góry i z powrotem.

Po ukończeniu liceum ogólnokształcącego w Zielonej Górze nie podjął studiów, a przecież mógł, jeśli nie dziennych, to wieczorowych, do czego niektórzy go namawiali. Ubolewała nad tym jego matka, która przez pewien czas dbała z dużą starannością o porządek w pomieszczeniach zajmowanych przez redakcję „Nadodrza”. Nie przywiązywał wagi do miejsc pracy, które często zmieniał. Był referentem administracyjnym, magazynierem, zaopatrzeniowcem. Pod koniec życia rencistą.

Oprócz późniejszej nieuleczalnej choroby już od młodości nie opuszczał go jeszcze jeden bezlitosny wróg, którego nie umiał, nie chciał, nie potrafił zwalczyć. Bez alkoholu nie mógł nie tylko pisać, ale po prostu żyć. Wszelkie perswazyje i rady nie odnosiły skutku. Miał poetycki talent, a za talent nierzadko płaci się wysoką cenę. I on płacił. On i jego najbliżsi.

Przy nieregularnych, niewysokich zarobkach czasem pożyczął. – Pożycz pięć dych. – Mieciu, mogę ci pożyczyć dwie i pół. – Może być – odpowiadał z właściwym sobie akcentem. A jak chciał pożyczyć pięćdziesiąt złotych, mówił, żeby mu pożyczyć stówę. Na Miecia już czekali kumple. Solidny. Zawsze zwracał.

Ksiądz w kazaniu podczas mszy żałobnej w kościele w Czerwieńsku elegancko powiedział o nim, że był inny, zwyczajnie inny, jakby go z przywar, win i grzechów rozgrzeszał. Był poetą, więc był inny. I zacytował jeden z jego wierszy.

Mirosława Szott, ciekawa poetka, która swoją przyszłość wiąże z pracą naukową, z literaturoznawstwem, powiedziała, że „był niesamowity, dobry i prosty”. Tak go oceniano z daleka.

Sadzę, że Mietek sam siebie, swoje pokrętne, pogmatwane życie ocenił najlepiej. Napisał, że jest czysty jak łąka, która płami. I w tym krótkim, poetyckim zdaniu zamyka się on cały. To jest esencja jego życia. Jego moralności. Owe dwie strony. Biała i czarna. Nam pozostało już tylko czas terazniejszy zamienić na przeszły, bo w życiu Mietka wszystko, co się miało dokonać, już się dokonało.

Spoczął na małym, rzecz można kameralnym, cmentarzu w Czerwieńsku obok swojej matki. Pozostawił wiele wierszy i opowiadań, opublikowanych i w rękopisie, godnych przeczytania i namysłu. I dobrą pamięć po sobie, gdyż o zmarłych dobrze, albo nic...

Janusz Koniusz

DO POETY

Pamięci Mietka Warszawskiego

W płodozmianie twoich rękopisów każda głoska należy do ciebie lecz żadnej nie wypowiesz w jakimkolwiek języku bo milczenie zaległo nad tobą jak nad duńskim księciem Grotem długopisu codziennie przekłuwasz skorupy strof o starości która człapie za tobą już od dzieciństwa ale na swoją ulgę nigdy jej nie usłyszysz jak tętentu jazdy liter na polach bitewnych poetyk Na udeptanej ziemi metafor rzucasz rękawicę śmierci pod nogi i stawiasz na sztorc kopię wykrzyknika Z pomocą znaków drogowych przepędzają cię z kąta w kąt brulionu o sztywnych okładkach żebyś przywykł do samego siebie Jedynej rzeczywistości Nie pozwoliłeś się wygnąć z księstwa wyobraźni więc z tarczą słowa przypiętą agrafką do stroju koronacyjnego poety odejdziesz w swoją bezgłośną samotność w brzemienym domu wierszy

JANUSZ KONIUSZ

MIETEK

Redakcja „Gazety Lubuskiej” mieści się w centrum Zielonej Góry. Tam czasami wpadał do mnie Mietek. – Pożycz 10 zł – rzucał. – Oddam – dodawał. I rzeczywiście, co było charakterystyczne i nietypowe, oddawał. Wiem, że pożyczał nie tylko ode mnie. Wiem, że te pieniądze po prostu przepijał. Choć czasem mówił, iż potrzebuje na bilet do Lasek. Może faktycznie? Te spotkania tylko czasem dawały okazję, żeby zamienić dwa, trzy zdania na temat wierszy, wydanych książek. Mietek, bywało, przynosił świeży tomik ze sobą, z gotową dedykacją. Ale od razu domagał się mojej książki, umawialiśmy się, że mu przyniosę, wyślę, różnie bywało. Starałem się dotrzymać słowa. Lecz rozmowy o poezji z Nim były bardzo rzadkie. Nie wiem, dlaczego. Pewnie chętnie podjąłbym taki wątek, gdyby się pojawił. Może On nie miał chęci, pretekstu? Kiedyś w Łagowie, na spotkaniu literatów ze środowiskiem bibliotekarskim, wyjaśniał mi coś, co mu się w moich wierszach podobało (lub nie). Widać było, że jest dobrze przygotowany, naczytany. Znał to, co napisałem. Ale to była chyba wyjątkowa rozmowa. Może nie lubił się otwierać? Mówić o sobie? Wydaje mi się, że też stosunkowo rzadko miewał spotkania autorskie. Pamiętam jedno, w bibliotece wojewódzkiej, kiedy przyprowadził nieletniego wówczas syna. Ależ był wtedy dumny z chłopaka, który siedział wśród publiczności! A ja dopiero na jego pogrzebie w Czerwieńsku dowiedziałem się, że było czterech braci Warszawskich i siostra. Fakt, nie dopytywałem Go za bardzo o sprawy osobiste. W końcu to było Jego życie prywatne. Choć teraz, po Jego śmierci, mam do siebie żal, że ostatnio po prostu jakoś tak „zapomniałem” o Nim. Choć... W zeszłym roku zrobiłem sobie rodzinną wycieczkę do Lasek. Pięknie położona miejscowość, między doliną Odry, a... górami. Zawsze pamiętałem, że dom Mietka nosił numer 35. Szukałem, nie znalazłem. Podczas kolejnego spotkania dociekałem: Mietek, gdzie ten twój dom, chciałem Cię odwiedzić, ale nie mogłem znaleźć...

Mietek znany był z tego, że obsyłał wierszami różne konkursy literackie, licząc na nagrody. Pieniądze z nagród pozwalały mu żyć. Po odbiór nagród nie jeździł, bo to kosztowne, a często było daleko. Z czasem organizatorzy różnych „Majów”, „Czerwców” i „Magnolii” zapisywali w regulaminie, że nagrody otrzymują tylko ci, którzy przyjadą po odbiór. Od wtedy chyba Mietek przestał wysyłać wiersze. Opowiadał czasem, ile i jakie konkursy „zaliczył”. Jego ambicją było, żeby „zaliczyć” jak najwięcej. Kiedyś rywalizował w tym ze swoim przyjacielem poetą, Czesławem Sobkowiakiem.

Jakiś czas temu wydawałem pismo „Komunikaty Nadodrzańskie”, finansowane przez „Gazetę Lubuską”, i mogłem płacić autorom. Dlatego Mietek przynosił swoje wiersze, opowiadanka (nierzadko przepisane – co dziś rzadkie – przez kalkę; widać, że rozsyłał je do wielu redakcji i na konkursy). Chętnie je zamieszczałem i wysyłałem Mu egzemplarz autorski. Ostatnio, przypadkowo, przeglądając w Empiku numer „Twórczości” trafiłem na Jego wiersze poświęcone śmierci Andrzeja K. Waśkiewicza, otwierały numer najważniejszego polskiego pisma literackiego. I to było nasze ostatnie spotkanie. Na łamach. Żałuję, że nie wiedziałem o jego chorobie i że umiera w zielonogórskim hospicjum, gdzie mogłem go przecież odwiedzić. Żałuję...

Eugeniusz Kurzawa

KWIATY W KARTKACH KALENDARZY

Otwieram stare kalendarze z datami ważnymi i mniej ważnymi. Między kartkami uschnięte kwiaty. Kwiaty od Mietka. Nie lubił ich otrzymywać. A kiedy już nie było wyjścia z tej kwiatowej sytuacji – oddawał je mnie. – Pamiętaj, jak umrę, to przyniesiesz mi osty, kolce i jakieś gałęzie. Cokolwiek bądź, tylko nie kwiaty – mówił. A ja odpowiadałam – dobrze.

Znaliśmy się od dawna. W latach sześćdziesiątych pracowaliśmy razem w nieistniejącej już Polskiej Wełnie. Mietek w magazynie przędzy, ja na tkalni. Wówczas Mietek miał pseudonim „Delon”. Miał w swej urodzie coś z Alaina Delona.

Miałam ogromną przyjemność prowadzić jego spotkanie autorskie w Klubie Dziennikarza „Pod Kaczką”. Było na nim wiele osób. Mietek nie byłby sobą, gdyby na to spotkanie nie przyszedł pod „dobrą datą”. Osobisty urok Mietka był tak wielki, że obecni udawali, iż niczego nie zauważyli. Chciałam Go udusić, bo przeszkadzał. Pozostali wkrótce wyrównali zaległości, zwłaszcza Andabata. Mieciu w wyśmienitym nastroju podarował mi kolejne kwiatki do ususzenia w jakimś kalendarzu. Mam je do dnia dzisiejszego.

Był niesamowity. Podczas Lubuskich Wawrzynów Literackich, jeszcze za czasów dyrektorowania Marii Wasik, odbywały się niezapomniane bankiety (ach, na wspomnienie wyśmienitej wyżerki, aż ślinka leci). Towarzystwo doborowe. Miejsce przy Kasi było oczywiście zawsze zarezerwowane dla Miecia. Mieciu był smakoszem win. Więc korzystając z takiej okazji, można było dać upust łakomstwu. Kasia dbała o wyżerkę, a Mieciu o napitek. Kiedy Mietek otrzymał Wawrzyn, kwiatów oczywiście nie przyjął. Demonstracyjnie opuścił salę biblioteki, wściekle rzucając na fotel bukiet od władz miasta. Z tego pechowego bukietu nie dostałam ani jednego kwiatka, bo się rozleciały. Pojawił się na bankiecie i powiedział do mnie: – Chodź, idziemy stąd. Ciebie jedyną zapraszam na ucztę. Nie wiem, co Mietek miał w sobie, ale nie mogłam mu odmówić. Poszliśmy się po prostu zwyczajnie upić. Wracając późnym wieczorem, mieliśmy przygodę. W okolicy kościoła Matki Boskiej podeszła do nas młoda dziewczyna i zwracając się do Mietka powiedziała: – Daj papierosa. Mietek papierosów nie miał, ja nie palę. Zza drzewa wyszło kilku facetów. Nie pytając o nic, rzucili się z pięściami na tego chudzińca. Ja w krzyk, oni w długą. Ja do dziewczyny, czy wiesz, suko, na kogo napadliście? To największy Poeta Ziemi Lubuskiej! Tymczasem największy Poeta stał z „mielonym” pod okiem. Złorzeczyłam na cały świat, a w pobliżu ani jednego mundurowego, żeby gonić za tymi bandytami.

Na spotkaniu autorskim Miecia w „Hydrozagadce” padło z sali pytanie, niby proste: – Panie Warszawski, w wierszach używa pan metafor, oksymoronów, przenośni, porównań. Jak pan to wszystko odnajduje i tworzy? Odpowiedź zaskoczyła dosłownie wszystkich. – Ja się po prostu na tym nie znam i nie mam pojęcia co to właściwie jest! Ale ja wiedziałam, że to jest po prostu niespotykany, autentyczny TALENT.

Nie mogłam uwierzyć, że mój ukochany Mieciu, w dniu 2 maja 2015 roku, odszedł na zawsze z tego łoża padole. Gdy zobaczyłam zboląłą Jolę Pytel w drzwiach u mnie w pracy, wiedziałam, że stało się coś strasznego. Pogrzeb jutro – powiedziała. A ja: Czyj? Ona – Mietka. Ja: Jakiego Mietka? Warszawskiego. Jezu, tylko nie On!!! Ale to był On. Nasz aż do bólu nasz – Mietek. Teraz dotykam zasuszonych kwiatów od Niego i chce mi się ciągle wyć.

Katarzyna Jarosz-Rabiej

WRACAM W WIERSZ

Mietka Warszawskiego poznałam w 2009 roku. Dał mi wtedy dedykację w tomiku *Persona non grata*. Pismo uporządkowane, niemal kaligraficzne (zauważył to kiedyś Andrzej K. Waśkiewicz, wspominając pierwsze spotkanie z ówczesnym licealistą). Pamiętam, że był bardzo naturalny, do dużej szklanki nalał piwo. Jakaś kobieta zaczęła go wychwalać, komplementować, a on po wysłuchaniu peanów ironizował na swój temat. Później tylko słyszałam o nim od innych. Niedawno pojechałam na konferencję z tekstem o jego geopoetyckim doświadczeniu prowincji. Mało kto we Wrocławiu o nim słyszał, nie dziwiło mnie to (nie wszyscy czytają „Twórczość”).

Outsider. Chyba najtrafniejszym określeniem współistnienia poety z osobami z sąsiedztwa byłoby pojęcie *monady*, zapożyczone od Waśkiewicza, który pisał o poczuciu wyobcowania pokolenia Nowej Prywatności. W wierszach Mietka słychać echo romantycznego buntu przeciw normom narzucanym przez społeczeństwo, a w tym wypadku – przez wiejską społeczność. W jednym ze swoich tekstów zauważa on, że poeta był ceniony tylko wtedy, gdy *próbował zająć się czymś normalnym, zarabiał pieniądze, miał koszulę na zmianę i przede wszystkim nie był poetą* (Poeta). Warszawski stworzył sobie azyl w przestrzeni wiersza – traktowanej jako kryjówka, a nie jako korytarz do bycia w centrum zainteresowania: *wierszu – o moja ty klatko biała i więzienna, i śmiertelna, i wieczna, i do pewnych granic* (Klatka). Wiersz stanowił dla niego upragnione miejsce, do którego powracał: *Gdziekolwiek idę: wracam w wiersz* (Gdziekolwiek idę); *Widzisz, znów mieszkam / W wierszu* (Moja najwierniejsza czytelniczka), „prowincję Warszawskiego”. Tym, co porządkowało jego świat, była jednak myśl o rzece. Dzięki żywiołowi dążył do siebie, nigdy jednak nie docierając. Woda była głównym punktem odniesienia wszystkich spraw; mam wrażenie, że była też gwarantem jego poczucia rzeczywistości. Temu zagłębianiu się w rzece, dążeniu do zsynchronizowania z jej nurtem towarzyszyło zamykanie przed społecznością. Nazwałabym go metafizykiem Odry.

Tuż przed wakacjami napisałam do Mietka list. Tradycyjny, dosyć staranny. Prosiłam go o spotkanie, chciałam razem z Januszem Łastowieckim nagrać jego głos (robiliśmy wtedy „Mapę głosów”). Zależało nam nie tylko na zapisie autointerpretacji, ale na utrwaleniu jego wahań, kadencji, antykadencji, oddechów. Napisałam mu numer swojego telefonu. Po jakimś czasie zadzwonił. Był lipcowy wieczór. Dokładnie pamiętam, bo wracałam wtedy z Warszawy, w samochodzie pełnym ludzi. Słabe warunki do rozmowy. Od razu chciał, żebym nie mówiła do niego „pan”, może drażniło go to. Rozmawialiśmy tylko chwilę, znowu prosiłam o spotkanie. Ale powiedział, żebym zadzwoniła za kilka dni. No to próbowałam. Nie odbierał, wybierałam jego numer o różnych porach dnia. Dopiero w okolicy sierpniowych urodzin niespodziewanie po którymś sygnale odezwał się. Ale rozmowa zakończyła się bez szczegółów spotkania w Zielonej Górze. Nagrywaliśmy innych poetów i poetki, myśląc, że mamy czas na Mietka. Po dłuższym czasie zobaczyłam mail od Eugeniusza Kurzawy z tytułem: „mietek”. I zanim go otworzyłam, pomyślałam: „błagam, żeby tylko nie ten Mietek”. Niestety okazało się, że Warszawski nie żyje. Spóźniliśmy się.

Mirosława Szott

NA POŻEGNANIE POETY

* * *

Warszawski umarł 2 maja, ok. godz. 14.00. W sobotnie, ówczesne popołudnie będąc w gronie rodzinnym, oddalony kilkaset kilometrów od Zielonej Góry, pomyślałem przez moment, co z Mietkiem? Wypowiedziałem to nawet głośno. Jakby wyłącznie do siebie. I jakbym chciał słowom nadać znamiona rzeczywistości. Wiedziałem doskonale, jaka jest jego sytuacja, wiedziałem, że najgorsza z możliwych dla człowieka. Od miesiąca, cały kwiecień, przebywał w zielonogórskim hospicjum, leżał samotnie w pokoju, drugi pokój na prawo, nr 35. Tak mocno zmieniony, że podczas pierwszych odwiedzin miałem sporą trudność rozpoznania jego, przecież dobrze mi znanej z wielokrotnych spotkań, twarzy. Był wychudzony. Z odleżynami. Bez mimiki. Tylko oczy, gdy się im przyjrzałem, były te same.

* * *

Szliśmy z Mietkiem przez pół wieku drogą słowa. Jakie to patetyczne, prawda? Nigdy nie traciliśmy ze sobą zwykłego, koleżeńskiego kontaktu, nie stawaliśmy się wrogami ani nie byliśmy odwróceniami plecami. Dzwoniliśmy do siebie przy różnych życiowych sposobnościach. I kalendarzowych okazjach. Aż od szkolnej ławy. Tak. Czytaliśmy sobie nawzajem nastoletnie wiersze, zapisane na zeszytowych kartkach. Potem pojawiły się książki. Dzielił się wrażeniami czytelnicznymi, szczerze, bez udawania. Ale wtedy, na początku, nie wiedzieliśmy nic a nic, bo jakże taką rzecz wiedzieć, że to poezja, a nie cokolwiek innego, będzie niekończącym się leitmotivem naszych najpierw marzeń o pisaniu, naszych wędrówek po wertepach młodzińskiego życia, po mieście, po miejskich bibliotekach za ciekawymi książkami, tomikami i tytułami. A potem będzie też wątkiem różnorodnych rozmów, najczęściej przy piwie, wielokrotne omawianie planów wydawniczych, możliwości stypendialnych, dzielenie się informacjami o druku tu i ówdzie i zdobywanych nagrodach, znajomościach, nowościach księgarskich etc. Że Tadeusz Jasiński na majowym kiermaszu książki (za czasów Władysława Gomułki) zaprowadzi nas do młodego pisarza Andrzeja Waśkiewicza, który nas prawdziwie poprowadzi, choć bez zbytniej gorliwości. Przedstawi szkolnych chłopaków Januszowi Koniuszowi i nastąpi, ten mający zmienić bieg naszych życiowych spraw, debiut w tym samym numerze „Nadodrza” (1967) – dla mnie wierszem o zmęczonych koniach, a dla Mietka utworem pt. „Krzyż”, co przypomniał ksiądz w ostatniej drodze. Poetycko poszliśmy osobnymi drogami. Mietek szybko podjął poetycki trop Tadeusza Różewicza i po swojemu go na własny użytek rozwijał i używał. Mnie frapowała szeroka, pełna zmysłowej obserwacji i refleksji fraza. On konstatował stan rzeczywistości, ja fascynowałem się, i fascynuję ciągle, nieogarnioną realnością istnienia.

* * *

Nigdy nie miałem takiej myśli, że przyjdzie kiedyś na mnie taka trudna powinność przemówienia nad trumną przyjaciela. Nie umiałem tego, nigdy nie robiłem, nie czułem powołania, nie wiedziałem, nie chciałem, bałem się łatwej, ckliwej trywialności i banału, który na styku ze śmiercią staje się szczególnie widoczny. I zgrzyta. I szybko się ośmiesza każde słowo. Bałem się też gubiących się słów. Ułożyłem jednak w swojej głowie kilka niezbędnych zdań. W majowy dzień było ciepło nadzwyczaj. Uderzył dzwon, ksiądz odprawił w modlitwach i wezwaniach do Boga, nad trumną, co niezbędne, według liturgii, ci co chcieli, pożegnali Mietka w kaplicy, dotykając jego rąk. I przyszła chwila, niełatwa, kiedy na zielonej wykładzinie przy samym grobie stanęły moje stopy, ogarnęło mnie natchnienie, duży spokój, światło dnia mnie objęło, zupełnie nieoczekiwanie, leciał daleko, wysoko, nad

Czerwieńskiem, nad lasem, cicho na niebie, lekki samolot sportowy, kiedy do licznie zebranych zacząłem mówić, jak to ciągle mamy w pamięci jego głos, różnorakie spotkania, całą sferę jego obyczajowych zachowań. I ja taką pamięć mam; telefoniczne rozmowy, nie zawsze łatwe, czasem z trudem znośne, urywane, powtarzające się. Ostatnie nasze spotkanie przy piwie w Klubie Dziennikarza „Gazety Lubuskiej”, kiedy wyraźnie osłabły Mietek powiedział: „Przyjdzie mi już chyba złożyć ręce na pępku”, „Kazik Furman na mnie chyba czeka”. I tysiące innych epizodów. Umawialiśmy się zazwyczaj przy kinie „Nysa”, chodziliśmy do „Teatralnej”, „Polonii”, „Mokki” lub „Palomy”, latem pod parasole z napisem „Żywiec”, do różnych knajp na wódkę – „Widoku”, „Ludowej”, „Lubuskiej”. Tych knajp już nie ma. Ani zapachu bigosu, kiełbasy, musztardówek, kaw, herbat, charakterystycznego gwaru, pokrzykiwania bufetowych kobiet, dymu papierosowego. Epoka odeszła. Wszystko minęło, zostało nic

ŻYCIODAJNOŚĆ

Najpierw trzeba już nie żyć,
Aby naprawdę
Żyć;

Żyć jakby się wciąż odżywało

W cieniu samego
Siebie,

W albumie
Albo jeszcze wcześniej, czyli

W łonie,

Jeżeli cokolwiek odciąć można
Od pępownicy
Życia,

Choć nadal żyje się
Jak żyje:

Ty sobie.

Sobie też
Życie.

Nawet po życiu

M. WARSZAWSKI

i nigdy. Nie zabrmi głos Mietka w słuchawce. Nie zamacha ręką z daleka. Nie skrzywi się, ani nie uśmiechnie. Nie wspomni przy mnie swojej ukochanej Małgosi P. ani życiowej jego nadziei (którą zmarnował) Zosi B. Różnie zachowa się jego obraz. Obraz będzie gasł, ginął wraz z ludźmi, którzy będą ubywać. Takie to oczywiste jak dzień i noc, i normalne. Jak deszcz, a po deszczu śpiew ptaków. Pozostał jednak jeszcze ten inny człowiek, Poeta – już nie Mietek – Mieczysław, który w całej powadze swojego życia publikował książki, zmagając się w słowie poetyckim ze swoimi wewnętrznymi bólami i myślami, wyobcowaniem, kompleksami, ranami, goryczami i tajemnicami swojego ja. Tam można go odnajdować nadal, wieść z nim dyskurs, szukać samotnego, dążącego do wyrażenia trudnej, człowieczej drogi przez świat.

Czesław Sobkowiak

Nie żyje pedagog, muzyk, ważna postać gorzowskiej kultury.

W sobotę, 25 kwietnia po ciężkiej chorobie zmarł Roman Wojciechowski.

Wieloletni nauczyciel wychowania muzycznego. Rodowity gorzowianin – rocznik 1947. Muzyk w Odeonie i śpiewak w Cantabile, autor wierszy. Członek Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury i Klubu Poetów Okrągłego Stołu.

Zgasł cicho, w sobotę nad ranem, na rękach najbliższych. Zabrała go podstępna, okrutna choroba, z którą walczył z pomocą lekarzy od ponad pół roku. Jak to było w Jego naturze – do ostatnich dni miał nadzieję i wierzył, że przezwycięży zły los. Bardzo cierpiał, ale się nie poddawał.

Roman Wojciechowski – mój przyjaciel i rówieśnik. Tak trudno opowiadać o Nim, trudno będzie żyć bez Niego rodzinie, bliskim, kolegom, przyjaciółom. Kochającym Jego i kochanym przez Niego. A kochać ludzi, świat i życie umiał jak mało kto.

Gorzowianin, urodził się w roku 1947. Zawarcie, ulica Grobla – wracał wspomnieniami do lat dzieciństwa i młodości w swoich wierszach. Absolwent Technikum Łączności w Gorzowie 1966.

Absolwent Państwowej Szkoły Muzycznej w Gorzowie. Absolwent Studium Nauczycielskiego w Gorzowie.

Po ukończeniu czynnej pracy nauczycielskiej i przejściu na rentę wiele lat pracował w Powiatowym Centrum Pomocy Rodzinie przy Starostwie Powiatowym w Gorzowie.

Zajmował się problemami rodzin i dzieci specjalnej troski. On, któremu życie nie szczędziło bolesnych ciosów – śmierci ojca, matki, żony, młodszego brata, pierworodnej córki. Praca na rzecz potrzebujących czy także misja serca?

To wtedy, kiedy już zamienili duże i wygodne mieszkanie na mniejsze, ale na parterze, aby ciężko już chora żona Krystyna miała szansę samodzielnie wychodzić przed dom, to wtedy przyjeźli pod swój dach dwoje dzieci w akcie adopcji – dziewczynkę i chłopca. Dzisiaj dziewczyna jest już pełnoletnia i założyła własną rodzinę. Po śmierci Romana wyraziła wolę, aby jej przybrany młodszy brat zamieszkał z jej rodziną. Czy znamy wielu, którzy umieją kochać aż tak?

WSPÓLNOTA rodzinna – jej szczęście i losy – to był priorytet w życiu Romana.

WSPÓLNOTA szkolna – nauczyciele, absolwenci, tradycja Technikum Łączności w Gorzowie, związana potem silnie z historią Technikum Ekonomicznego w Gorzowie. Wspaniałe grono przyjaciół, pielęgnują po dziś dzień historię i tradycję. Szacunek dla nauczycieli i wychowawców, nie zapominają o nich. Serdeczna pamięć z okazji Dnia Nauczyciela, rocznic szkolnych. Spotkania z pedagogami, piękne koncerty muzyczne dla nich grali Romek i Janusz Polak... Jeszcze 22 marca tego roku Romek, już bardzo osłabiony, nie zapomniał o 99. rocznicy urodzin wychowawczyni swojej klasy maturalnej, złożył życzenia przez telefon i przeprosił, że nie może tego zrobić osobiście, jak co roku...

WSPÓLNOTA Państwowej Szkoły Muzycznej w Gorzowie. Jak zauważył Rafał Klaus, syn nauczyciela PSM w Gorzowie, przygotowując pracę o historii ruchu muzycznego w naszym mieście od roku 1945, podstawą rozwoju tego segmentu kultury w Gorzowie pod każdym względem stała się PSM, jej kadra nauczycielska i absolwenci. Jeszcze 14 lutego tego roku uczestniczyliśmy z Romanem w roboczym spotkaniu z Rafałem



Klausem i Lidią Zagórką-Jędraszewską, oboje to także absolwenci PSM, poświęconym zbieraniu danych historycznych. Ale była też nasza WSPÓLNOTA UCZNIOWSKA...-

To już były wczesne lata 60., młodzież chciała się cieszyć radosną muzyką rozrywkową. A kończyli właśnie PSM absolwenci szczególnie utalentowani, starsi od nas: Edward Dębicki, Piotr Jałoszyński, Jerzy Kiona, Józef Moździerz, ojciec Leszka Moździera, Jan Jakuc, Franciszek Pappelbaum i wielu, wielu innych. A tu w szkole na przerwach przebojem staje się „Diana” Paula Anki (1962). Błagania do Piotra Jałoszyńskiego – jak zagrać te pięć akordów na gitarze? (A przecież klasy gitary wtedy w szkole nie było, kończyliśmy z Romanem klasę skrzypiec).

Myślę, że to wtedy dla Romana muzyka stała się wszechstronną pasją

PASJE ROMANA – MUZYKA.

Kochał muzykę, uczył się jej pilnie i zdobył umiejętności gry na skrzypcach, fortepianie, saksofonie i gitarze. Wiedział, że muzyka to tworzenie, kompozycja, odwrotność wykonawcza i edukacja muzyczna. Muzyka dla rówieśników – to była jego pasja uczestniczenia we WSPÓLNOCIE.

Roman był współtwórcą i współorganizatorem zespołu i klubu „Pod Filarami”. Grał w licznych orkiestrach i zespołach muzycznych, m.in. „Warta Ton” i orkiestrze kameralnej „Odeon”. Był instruktorem i działaczem kultury w Domu Kultury „Kolejarz” i Klubie Spółdzielczości Pracy. Muzycy z DK „Kolejarz” to także wspomnienia muzyki rozrywkowej w restauracji „Wenecja”, gdzie Roman grał czasami z Andrzejem Pawlukowcem i Piotrem Jałoszyńskim – obaj zmarli w roku 1969 – oraz z Ludwikiem Zagórskim. Roman był członkiem Gorzowskiego Towarzystwa Muzycznego im. Henryka Wieniawskiego, prowadzonego przez Szczepana Kaszyńskiego. Bardzo się zaangażował od roku 2011 w pracę chóralską, a szczególnie wspominał trudną interpretację „Don Giovanniego” Mozarta.

PASJA ROMANA – POEZJA

Razem z Czesławem Gandą zaczęli pod okiem surowych mistrzów – Zdzisława Morawskiego i Kazimierza Wachnowicza. Stworzyli przy SN kabaret „Kobyłka”, do ich tekstów wykonywali program „Na boso i na oklep”.

Debiut literacki: Pegaz Lubuski; 1;44; 2011.

Publikacje: Pegaz Lubuski; 1;55; 2014.

Portfel z wierszami Poetów Okrągłego Stołu. Biblioteka Pegaza Lubuskiego. ZLP Oddział w Gorzowie Wlkp. Grodzki Dom Kultury. Gorzów; 2014. Tomik: Roman Wojciechowski „Iris i inne wiersze”.

Dorobek Jego życia i pracy, jak i postać Jego pozostaną trwałe i niezapomniane. Jak dorobek tysięcy ludzi, którzy kształtowali historię naszego miasta.

Andrzej Erdmann

Romanie,

Ty wiesz już wszystko, a my?
A my ciągle nie dowierzamy...

W Wielką Sobotę, kiedy dzwoniłem do Ciebie z życzeniami
obiecowałeś majowe spotkanie nad Zalewem Bledzewskim.
Twoja charakterystyczna łódka będzie mi na zawsze wspomnieniem
i Twój nietuzinkowy, radiowy tembr głosu.
Dziękuję, Romku, za dzielenie wędkarskiej pasji.
Jako kolega z Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury,
w imieniu którego Cię żegnam,
za wszystkie działania słowno-muzyczne,
za czwartkowe wieczory w „Chemiku”,
w trakcie których ukazywałeś artystyczną wrażliwość.
Z niej powstawały Twoje wiersze.
Urywki jednego z nich, zatytułowanego „Moja Dzielnica”,
przytoczę:

*Jak w starym kinie, którego już na Zawarciu nie ma
widzę pochylone kamienice z omszonymi dachami
ciche i zapomniane.*

/.../

*Asfaltowa cywilizacja nie oszczędziła mojej dzielnicy.
Wiatr nowoczesnego sznytu, pogasił lampy naftowe,
brukarzy pozbawił pracy.*

*Przyszło nowe, które w szalonym zapale
wycięło przydrożne lipy, stalowe tory tramwaju.*

/.../

*W rodzinnym albumie pozostały fotografie,
z przedszkola i z pierwszej klasy na Grobli,
a gdy wyteżę pamięć poznaję starego piekarza
i fryzjera co golił nie tylko wąsy.*

/.../

*Czas wyprowadził świadków mojego dzieciństwa
do innych kwater, co równo stoją w parku zapomnienia...*

Na jednej z tych kwater stoimy teraz zadumani.
Oby park zapomnienia – jak napisałeś w wierszu,
był miejscem naszych częstych odwiedzin.
Miejscem dla światła za Twoją duszę,
miejscem refleksji i modlitwy.
Miejscem naszego sprawdzianu z pamięci
o Tobie
przed Stwórcą.
AMEN

Roman Habdas

Roman Wojciechowski był obdarzony pięknym, „radiowym” głosem, w dodatku miał intuicyjny dar: klucz do interpretacji wierszy. Nie tylko swoich. W pamięci długo pozostanie Jego czytanie poematu Zdzisława Morawskiego „Ziemia dla żywych” na promocji tomu wyboru wierszy tego poety w WiMBP im. Z. Herberta w grudniu 2012 roku.



Ostatni wiersz Romana z tomiku
„Iris i inne wiersze”:

KLEPSYDRA

nie możesz życia opuścić, porzucić,
ani uciec z niego na chwilę,
w życiu musisz być,
nie wystarczy
o nim mówić
ot tak
jak?
tik
tak
zegar twój
purpurowy zaczął
ostatnie kryształki życia mierzyć
po których już nic – tylko cisza, cisza, sza...

REQUIEM FOR A BUSINESS

Tam gdzie jesteś
panuje uporczywy spokój
a ty wypatrujesz miejsca
wśród nieistniejących

Ty, który wśród realnych
byłeś ikoną ziemskiego sukcesu
jedno słowo i obecność twoja
otwierała bramy rzeczy niemożliwych
jak mogłeś w swoich zwojach geniusza
nie zauważyć ostatniej podróży.

LEŚNA SYMBIOZA

Od lat wielu w leśnej ciszy
Modrzew z Sosną się kołyszają.
Gałązkami się trącają
konarami obok siebie
koronami, hen aż w niebie
szepcą czule i szeleszczą.
W jednym rytmie w jedną stronę
w tańcu w wietrze przytuleni
i splątani...

Gdy wiosna minęła i skończyło się lato
przytuliła się sosna do modrzewia
cicho szumiąc:

mój modrzewiu, mój kochany
będziemy mieli
małe szyszki
...

*Wiersz napisany 2 marca 2015 roku
w Zachodniopomorskim Centrum Onkologii
w Szczecinie.*



GRY I ZABAWY

Miejsca rozjątrzone światłem. Ścisłe centrum.
Nieustanne gry i zabawy na nieco wyższych obrotach.
Praktykując uwodzicielstwo, tylko by zapomnieć.

Nauczeni nie ufać refleksjom jak bezpiecznym kotom,
uwikłani w drugorzędne dialogi z lustrem
dbając o *teraz i tu...*

Cisza i tak podchodzi niespodziewanie
i cieszyłeś się z ich posłuszeństwa

RANDEZ-VOUS

Jesteśmy jednak o krok dalej. Wyszliśmy z knajp
na dobre – żadnych skojarzeń, cieni,
emocjonalnych kalamburów

Uśmiech z playbacku czyni nas bardziej przystępnymi,
ale nic ponad to. Można czuć się bezpiecznie.
Nasze rendez-vous w barach mlecznych, cukierniach

starzejemy się – mówisz – ale tak już będzie – dopowiadam
Weźmy to za dobrą monetę,
zakopmy i toczmy się dalej...

AŻ I NIC

Abdykacja aż po same myśli,
podwórka wyczyszczone z dzieciaków,
powleczono noc by przeciwdziałać usterkom ducha
nazbyt banalnie układa się spokój...

...już nic...
...jeszcze nic...
śni mi się zapach nieba

* * *

...aż w końcu obudzimy się w sobie
skończeni,
uginając się
pod stertą zużytych spojrzeń,
wykorzystując wsteczne lusterka
by nie zaprzeczyć niczemu;

o śmierci
to by było na tyle
westchnienie

powoli przywraca jasność

* * *

Ciemniejąca płachta nieba
Wycofanie. Wytchnienie.
Oglądam zmierzch w twoich źrenicach
Czy właśnie tutaj zaczyna się bliskość?

* * *

Lawirować pomiędzy gestem a życiem
docenić czas, który wydaje się pusty
słowo miłość zostawić dla spraw największych

* * *

Od kiedy wieczory z tobą są choćby czasowe
można bezpieczniej stąpać między dotykami
godząc się na podróż w te i назад
na każdorazowo dokonywane transfuzje zdarzeń
w których byliśmy odłączeni od pępownicy gniazda.
skazując się wzajemnie na niedoskonałość
Teraz już ciszej. Układam palce wzdłuż deszczu
sposobiąc się do snu
który nas wydobędzie z tego zapętlenia

Wierzysz,
choć jutro brzask wcale nie będzie lepszy.

* * *

Otworzyłem dzień w dobrze znany sposób
dopełniłem rytuały

a potem długo zlizywaliśmy ten zamęt z wyspy ciała
by zmylić trop

Czuję,
w końcu uchylono mi światła

Jakże mógłbym odmówić ci czułości?

Maciej Kuczyński – urodzony w 1979 roku. Absolwent socjologii na Uniwersytecie Wrocławskim. Publikował w „Odrze”, „Nowej Okolicy Poetów”, „Dekadzie Literackiej”, „Akancie”. Obecna publikacja jest próbą powrotu do regularnej działalności twórczej.

Na początek zastrzeżenie. Określenia „leming” nie używam w znaczeniu pejoratywnym, melioratywnym czy jakimkolwiek innym. Jest ono przeze mnie użyte jedynie jako poręczny pojemnik, w którym znaleźć można wszystkie cechy współczesnego Polaka idealnie zaadaptowanego do środowiska, w którym przyszło mu żyć i żyjącego w tym środowisku z zadowoleniem. Tylko tyle. Teraz treść właściwa.

Od jakiegoś czasu toczy się dyskusja wokół stałej ceny książki. Postanowiwszy wtrącić w ten rozhovor (bo tak dyskusje współcześnie w tym kraju wyglądają) kilka swoich sztyderstw, zapoznałem się z głosami rozmaitych ekspertów, dyrektorów departamentów, wiceprezesów fundacji oraz (proszę mi wybaczyć to słowo) dziennikarzy. Doznałem zamętu, zawrotu, nieledwie choroby umysłu. Wszyscy byli za, ale wszyscy byli przeciw, albo odwrotnie. Cena ma być stała przez rok, ale to niebezpieczne, małe księgarnie przestaną upadać, ale i tak upadną, cena książki spadnie, ale wzrośnie, ludzie kupią więcej książek albo jeszcze mniej, czytamy mało i to jest niedobrze albo bardzo dobrze, bo jest to świadectwo, że spora część narodu jeszcze umie czytać. Uff!

Próba uporządkowania zdobytej wiedzy doprowadziła do takich oto refleksji: Dostrzeżono, że książka jest niekoniecznie towarem, a być może jest dobrem i to wspólnym. W ramach tego dostrzeżenia postanowiono, przynajmniej w zakresie ceny tego dobra, ujednolicić do niego dostęp, hamując falę plajt księgarnek sprzedających jeszcze podobno Arystotelesa i Dostojewskiego, jednocześnie zaciągając cugle molochom robiącym forszę na kolejnych twarzach Greya, zaś Arystotelesowi i Dostojewskiemu urządzającym wyprzedaje, niekiedy nocne. Co jest i tak postępem; za czasów NEP-u (jeśli ktoś wie, co to był NEP) w Dostojewskiego zawijano śledzie. Jest to jeszcze bardziej postępem, bo przecież ci robiący forszę mogliby w ramach owych nocnych igrzysk palić dostojewszczyznę, przy tak orgiastycznym oświetleniu próbując sprzedać jeszcze więcej twarzy Greya. Kiedy sobie wyobrazić, co Grey mógłby z nią przy tych płomieniach wyrabiać, pewnie by się udało. Poza wszystkim, książki się fajnie jarają, jak świadczą liczne dokumenty wizualne z niedawnej przeszłości.

Głównym, a niewyartykułowanym problemem tych wszystkich przepychanek jest, zdaje się, fatalna, w uszach wymienionych kreatorów rzeczywistości, konotacja słowa „dobro” i pojęcia „stała cena”. Otóż była taka epoka – stan niewolniczy kraju, w którym żyjemy. Przed siedemdziesięciu laty, po straszliwej wojnie, która na tej ziemi zostawiła miliony mogił, obrócone w perzynę miasta i wsie, kraj ten został zawłaszczony przez potwory ze wschodu, znęcające się nad narodem za pośrednictwem obficie opłacanych pacholków, aby naród ten doprowadzić do jeszcze większego wyniszczenia i jeszcze większej ruiny. W ramach tego planu pacholki wschodnich potworów zapędziły pozostałe po wojnie resztki ludzkie do pracy, biczami i kijami pilnując, aby ci odbudowali co się tylko da i zbudowali jeszcze więcej, a nawet żeby zbudowali nory dla siebie, bo przecież powinni gdzieś mieszkać, a nie włączyć się po śmietnikach. Resztki wolnego czasu potwory i pacholki zlikwidowały, zapędzając naród do szkół, nawet – co niewyobrażalnie haniebne – wyższych, nakazując wszystkim obowiązkowo nauczyć się czytać i pisać, właściwie nie wiadomo po co, skoro do czyta-

nia nic nie było, a pisać nie było po co, bo o czym tu pisać do sąsiada z baraku w obozie. Przykładem, jak bardzo nie było co czytać, niech będzie wydana przez pacholę i potwory w 1949 roku „Pochwała głupoty” Erazma z Rotterdamu, którą posiadam. Oczywiście wydana ze stałą ceną, nadrukowaną na okładce. Jest niezwykle słusznym, że w tym kraju już nigdy tej książki na tak masową skalę nie wydano.

Wracając do pastwienia się nad narodem. Potem przyszły anioły z zachodu i porządek zapanował anielski. Ponieważ to, co pobudowano poprzednio, do niczego się nie nadawało i właściwie było ruiną, sprzedawano tę ruinę komu popadnie, kto tylko chciał choć trochę zapłacić, i tu zabłysły miłosierdziem zachodnie anioły, które kupiły sporo i nawet jeszcze dzisiaj te ruiny kupują, kierując się jedynie właściwymi nakazami moralnymi. Przy okazji dobra przestały być dobrami, a stały się towarami. Towarów zrobił się jakby nadmiar, skoro wszystko było towarem, nawet damski biust i pośladki, obficie obecne na rozmaitych billboardach, ustawianych we wszystkich widocznych miejscach. Ceny stały się oczywiście ruchome i nic już nie było stałego, wszyscy wszystko mogli i nikt nic nie musiał. Idiotyczna umiejętność czytania i pisania zaczęła wreszcie zanikać. Wszyscy dostali paszporty; ci, którzy jeszcze umieli czytać, zrobili z nich użytek, zaś ci, którzy nie umieli, włożyli je do szuflady – przepraszam, gdzie indziej je włożyli; ponieważ zniesiono również straszliwe utrudnienia dotyczące mieszkania na śmietniku, część narodu przeprowadziła się i zamieszkała tam z radością cechującą ludzi naprawdę wolnych. Casy nastały zachwycające, kraj był jak zielona wyspa wśród innych zielonych wysp i wtedy ktoś skonstatował, że być może pomiędzy książką a workiem cebuli istnieje jednak jakaś różnica – być może jedno jest towarem, drugie zaś (tfu) dobrem i to publicznym. Podejrzewam, że był to dysydent, wywrotowiec, szpieg, być może nawet z Krainy Deszczowców. Bo skoro jest tak świetnie?

Dołączę powiastkę. W tamtych strasznych czasach, kiedy wszystkim nakazano uczyć się czytać i pisać, żył pewien poeta. Z pięknym rodowodem, wykształcony na potwornych uniwersytetach i nawet mieszkający w lokum, które potwory mu dały (chytrze – bo pewnie myślały, że jak mu dadzą, to on knuć nie będzie), zakochany w czasach minionych i umiejący opowiadać o nich w sposób niezrównany. Poeta ów udał się tam, gdzie powstawały filary naszego świata i potem napisał opowieść. O templariuszach, budowniczych katedr, trubadurach i grotach w Lascaux. Poeta napisał ją w języku polskim i wydał w tym kraju, zapewne dla zniewolonych, aby pokazać im, skąd pochodzą i jaka przeszłość ich tworzy. A pacholki ją złośliwie wydały – w 1962 roku. Poeta mógł to uczynić, ponieważ zniewoleni umieli czytać i mogli jego opowieść zakupić we wcale licznych księgarniach i na dokładkę po stałej cenie. Poeta nazywał się Zbigniew Herbert, a opowieść to „Barbarzyńca w ogrodzie”. W związku z tym pożałowania godnym faktem mam propozycję. Należy napisać nową opowieść o tym, skąd pochodzimy, jaka przeszłość nas tworzy i spróbować określić, dokąd idziemy. Ponieważ jestem wolterowskim prostaczkiem, zapewne nie ja ją napiszę, ale mam dla tej książki tytuł. Jaki? Ano taki, jak tytuł tego felietonu.

ANETA DŁUGOŁĘCKA

dobranoc

muszę ci dobranoc powiedzieć
północ woła do łóżka
choć nocne rozmowy ciekawe
zbliżają dwoje ludzi raz spotkanych
ja w kwiecistej sukience
ty z uśmiechem w dłoniach
skradliśmy wspólne słowa przy poezji
i piwie

rozbiegane języki
zbliżyły jeszcze bardziej

dziś fejsbuk nadrabia kilometry
zdania czekające w kolejce
piszę zbyt szybko z błędami
porozumienie czuwa
bezbłędnie czytasz pomiędzy
odkrytymi a uśpionymi wersami

muszę ci dobranoc powiedzieć
zbyt daleko mieszkasz
by noc zamienić w słowa

puenta

trudno przykleić się do codzienności
gdy myśli szybują za ptakami
wejść w ramy pracy codziennej
dziecku podać śniadanie
mężowi koszulę

przymykam obrazy dnia
kartka z pogryzionym ołówkiem
bywa bezcenna
już się pisze
słowo rodzi słowo

mamo chodź się pobawić
puenta umyka

TOMASZ KORBANEK

Pawilon widokowy

Dookoła mnie i we mnie
szczęść kolumn dźwigających
pękniętą od spodu kopułę.

Żadna z nich nie podeprze skroni,
nie wytłumi krzyku
kąsanych wiatrem gałęzi.

W tym opuszczonym miejscu
nie schronisz się przed burzą.

Mgła

Osiada pyłem na rdzawych
piramidach dachów,
owija pledem koty
śpiące w zakamarkach ulic.

Wypelnia sobą każdy
kąt wyobraźni.



Nic się nie wyklucza – wszystko za człowiekiem podąża. Refleksja o „innej” poezji wyzwolonej z okowów inskrypcji

Poezja jako twór będący w nieustannym ruchu, w walce z formą, z bielą kartki i symbolicznością już od lat 40. minionego wieku poszukiwała innych od tradycji cyfrowych realizacji – skupionych na języku, a nie na znaczeniu. Skoro słowa są symbolami i ich zapis maszynowy na płaskiej kartce wiąże się z interpretacją – po drugiej stronie mogą stanąć realizacje polegające na budowaniu poezji opartej na bazie języka, czyli na materiale konkretnym. Poezja konkretna oferuje pełniejszy obraz świata

dzięki wykraczaniu poza linearność uderzeń w klawisze klawiatury. To szersze wykorzystanie języka. Ba – wszelkie inne realizacje poetyckie związane z wizualizacją, udźwiękowieniem czy nowymi technologiami też mają rację bytu. To przecież Garnier głosił już w 1970 roku, że być może po raz pierwszy w historii poeci znaleźli się w konflikcie z językiem, gdyż między językiem a poetami była pustka. Pustkę ową może wypełnić nie zarys energii, jaką niosą słowa, a wiersz-figura lingwistycznej energii. Autorzy poezji konkretnej – co zaznacza Henri Chopin – pragnęli stworzyć słowo namacalne, trwałe, które miało sprawić, że język ludzi stanie się widoczny. „Widoczność” ta przez te 70 lat miała najróżniejsze realizacje. Wymienię tylko ich najznakomitsze przykłady: wiersze-partytury (Bernard Heidsieck), słowne krystalizacje (Paul Armand Gette), semantyczne permutacje odbijające fonem po fonemie (Gherasim Luca), wiersze ze znaków, wiersze z cyfr, wiersze bez zawartości, wiersze-rebusy, wiersze ukute z obrazów i kolorów (Jiří Kolář), roleże zrobione z pasów, chiazmaże podarte fragmenty, wiersze audytywne (kaszel po każdym słowie), wiersze autentyczne (świadectwa obozów, raporty, ankiety), wiersze z kamieni, wiersze cenzurowane, dekaligrama, teksty obnażone, gramowiersze (muzyka przerywana, sztukowana), wiersze kreatywne, wiersze zapachy (robione z zapachów zieleni), wiersze seryjne (w stylu filmów niemych i felietonów), bazgraniny, wiersze zasłonięte (zasłanianie i odsłanianie części ciała lub pomników), wiersze antykody z cyfr (Václav Havel – prezydent Republiki Czeskiej), rysunki konceptualne, fotomontaże, książki przedmioty, wiersze-akcje rozgniatań owoców, wiersze-przebieganki, wiersz-walce drogowe, kolaże werbo-wizualne (Lamberto Pignotti), wiersze-fuzje (Stelio Maria Martini), dialogi-abstraktów, wiersze-komiksy, wiersze ikoniczne (Ronald Azevedo), wiersze-melanże z wielu języków, wiersze-przedmioty złożone z fragmentów słów w pudełkach (Ladislav Novák), kolisty hologramy poetyckie (gdzie słowa tracą na swojej obecności semantycznej), pulsary w formie wideoklipów (Julio Plaza), wiersze-lasery, słowa neony (Bruce Nauman), wideowiersze (Ernesto de Molo e Castro), biopoezja Edwarda Kaca (ciekawe zjawisko transponowania tekstu na alfabet Morse’a, a następnie na alfabet genetyczny wprowadzony w bakterię, która staje się transgeniczna), wiersze permutacyjne generowane kodami programów komputerowych (Emmett Williams), przy których następuje współpraca literata z matematykiem i informatykiem.

Szczególną realizacją jest poezja gestualna (poetry in process), której twórcą był Miroljuba Todorović. To całkowite zerwanie z poetyckim desygnatem, a postawienie na elementy „werbo-woka-wizualne” i rolę aktora-autora wykonującego gesty przy użyciu różnych „poetyckich” obiektów typu rozrzucanie zadrukowanych kartek czy owijanie ciała taśmą podziurkowaną przez komputer według zadanego algorytmu.

Wszystkie te kolejne odłony ludzkiej kreatywności, ogromnie popularne na świecie, a zaniedbywane w Polsce, wbrew pozorom to powrót do greckich źródeł poezji. Przecież „poiein” (czasownik grecki) oznacza „czynić, robić, tworzyć, działać, naśladować”. Nie ma się czego bać – wszak wszystko jest dla ludzi – eksperymenty i nowe technologie też.

Mój projekt EGOkonkrety to połączenie wybranych fraz i fotografii (własnego autorstwa) multiplikowanych i losowo generowanych przez cyfrowe oprogramowanie graficzne.

SŁUCHAJĄC MISTRZÓW

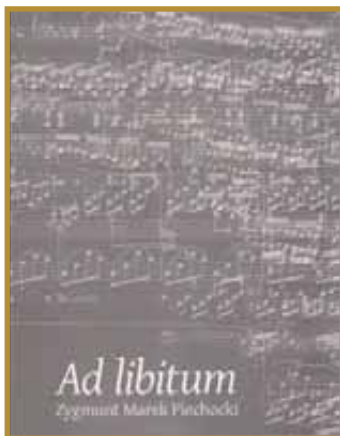
Najnowszy tom wierszy Zygmunta Marka Piechockiego nosi tytuł „Ad libitum”. To termin muzyczny, który autor tłumaczy na skrzydełku książki: „Bez ograniczeń, dowolnie, według upodobań”.

Książka ma duży format A-4, kredowy papier, a na parzystych, czyli prawych stronach to co najważniejsze: partytury utworów muzycznych. Natomiast tekst wiersza znajduje się po lewej stronie od dołu i jest jakby wtopiony w nuty. Natomiast na obu okładkach są ponakładane na siebie partytury wykorzystane na stronach. Tak zaprojektowała książkę Monika Szalczyńska, a kształt graficzny jest bez wątpienia jej dużym atutem.

Marek Piechocki jest autorem blisko 10 tomików poetyckich i miłośnikiem muzyki klasycznej, zwłaszcza fortepianowej. W „Ad libitum” połączył obie swoje pasje. Każdy wiersz rozpoczyna się od zwrotu: „Przychodzę do ciebie z...” i dalej następuje tytuł utworu muzycznego, np. „z sonatą Op. 27 nr 2 Ludwiga van Beethovena”, „z V symfonią A-dur” tegoż, „z Balladą As-dur Op.17” Fryderyka Chopina, a nawet „z krakowskimi klezmerami”. Wiersze nie mają tytułów, ale większość z nich jest komuś dedykowana. Adresatami są muzycy, najczęściej z gorzowskiej filharmonii, z którymi autor nawiązał porozumienie. Bo w wierszach nie ma sporów, nie ma dywagacji na temat różnic w odbiorze lub w ocenie muzyki. Tu jest zawsze podziw dla twórcy i emocjonalny związek autora z adresatem wiersza. Związki te mogą się zasadzać na wspólnym lub podobnym odbiorze utworu w sferze nastroju – jak w wierszu zrodzonym z „Wiosny” Vivaldiego, w jego przesłaniu – jak rozważania o losie w V Symfonii Beethovena, a nawet na podstawie faktów z życia kompozytora, jak to jest w wierszu o muzyce Franciszka Schuberta.

Po prostu muzyka niesie Piechockiemu inspirację ad libitum, bez ograniczeń, dowolnie, według upodobań. Stałe jest natomiast współrozumienie lub współodczuwanie z drugą osobą. Marek Piechocki często kreuje się na autsajdera, samotnika, którego nikt nie rozumie. Jakże myląca to autokreacja. Marek ma wielu przyjaciół zarówno poetyckich, jak i muzycznych, a cały tom wierszy dowodzi bliskiego się jego z nimi rozumienia.

Muzyka kieruje Piechockiego w dowolne strony, a więc pozwala na przeniesienie się w różne sfery. Na przykład rozważania o niespełnieniu zrodzone z muzyki Eugeniusza Morawskiego są dedykowane dyrygentce Monice Wolińskiej, a myśli o pocieszeniu, jakie naszyły autora podczas słuchania muzyki Vladimira Horowitza, przekazuje altowiolistce Magdalenie Michnie. Są też myśli prywatne, np. muzyka klezmerska w wykonaniu dwóch klarncistów Grzegorza Tobisa i Waldemara Żarowa przypomina pokolenie matki, które żyło z Żydami blisko, po sąsiedzku, wzajemnie sobie pomagając. Dopóki nie przyszła Zagłada. W tym kontekście Spraw Wielkich razi mnie zapisanie doznania codziennego,



jak rozdrażnienia na pewnego lekarza, który nie chciał wysłuchać pacjenta. Pewnie dla autora takie zachowanie było równie ważne jak doznania duchowe, ale jakże przyziemne...

*

W poprzednim tomie wierszy pt. „Preteksty” Marek Piechocki cytował fragment wybranego wiersza, a następnie go rozwijał lub komentował. Ten związek z istniejącymi już dziełami tu kontynuuje, tyle że sięga do muzyki Mistrzów. Przyznaję, że chciałoby się razem z nim słuchać wskazanych utworów. Już sobie marzyłam, że zamiast partytury, dla mnie nieczytelnej (żałuję, przepraszam), mogłabym sobie włączyć płytę z nagraniem danego utworu.

Ostatni wiersz tego tomu autor dedykuje wszystkim i przychodzi do nas z „Toccatą i fugą d-moll” Jana Sebastiana Bacha. Kończy zaś stwierdzeniem: „Dwanaście półtonów. Z nich poskładany absolut”. Tylko muzyka – zda się nam mówić – może ogarnąć wszystko, co dla człowieka najważniejsze. Słuchajcie więc muzyki. Tej wielkiej przede wszystkim.

Zygmunt Marek Piechocki, „Ad libitum”, projekt graficzny Monika Szalczyńska, Gorzów 2015, 32 s.

Tom wierszy można kupić w antykwariacie w budynku Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej, ul. Sikorskiego 108, lub przez Internet za pośrednictwem tegoż antykwariatu.

WSZYSTKIM

Przychodzę do was z *Toccatą i fugą d-moll*
Jana Sebastiana Bacha

Z *Toccatą* i swoim zawstyżeniem

Od dwóch lat na pulpicie mojego pianina
nuty tej kompozycji bo ciągle we mnie chęć
by ją zagrać

Niestety brakuje zacięcia do poznania zapisu nutowego
i ledwo dukam kilkanaście taktów
utworu którego słuchałem w nawach kościołów

Największy z instrumentów zbudowanych przez człowieka
– organy
zabierały mnie dźwiękami *Toccaty* w przestrzenie
na co dzień niedostępne

Żadnych im nazw własnych człowiek nadać nie może

Dwanaście półtonów

Z nich poskładany absolut

KRYMINAŁ O GORZOWIE, CZY „LUDZIE TO KUPIĄ”?

Nareszcie mamy kryminał, którego akcja rozgrywa się w Gorzowie. Napisał go Krzysztof Koziółek z Nowej Soli. Jego tytuł „Ława przysięgłych”.

Co prawda miasto nazywa się nie Gorzów, a Miłów, ale zgadzają się: siedziba sądu przy ul. Mieszka I, policji przy ul. Wyszyńskiego, widok bulwarów nad Wartą, cmentarz przy kościele św. Krzyża i wiele innych realiów. Z tą książką w ręku można chodzić ulicami Gorzowa po śladach bohaterów. Nie wiem tylko, w jaki sposób z pokoju gościnnego w nowej bibliotece nasz bohater robił kompromitujące zdjęcia innym bohaterom przebywającym w hotelu przy ul. Kosynierów Gdynskich. Moim zdaniem się nie da. Niestety, moim zdaniem także nie da się wskazać kilka najprawdziwszych miejsc, aby powstała powieść identyfikująca akcję i bohaterów z danym miastem. Taka akcja i tacy bohaterowie jak w „Ławie przysięgłych” mogą żyć wszędzie, w każdym innym polskim mieście.

Krzysztof Koziółek chętnie poddaje się modzie wiązania losów swoich bohaterów z konkretnymi miastami. Najczęściej jego bohaterowie żyją w Nowej Soli, Zielonej Górze, Kozuchowie i innych miastach raczej na południu Lubuskiego. Tym razem ruszył na północ. Dlaczego? Pewnie dla pozyskania czytelników, którzy złapią się na haczyk lokalności. Niestety, haczyk jest w tej powieści więcej niż wąty.

*

„Ława przysięgłych” zawiera kapitalny pomysł na thriller prawniczy.

Pamiętacie stary, a ciągle znakomity film amerykański „Dwunastu gniewnych ludzi”? W filmie tych dwunastu, czyli Ława Przysięgłych, ma wydać wyrok w procesie o morderstwo, zdecydować, czy oskarżony jest winien, czy nie. Zasadniczy warunek: decyzja musi być jednogłówna. Tymczasem jeden z członków ma wątpliwości...

*

Krzysztof Koziółek wpadł na powieściowy pomysł, aby do naszego trybu sądenia wprowadzić amerykańską Ławę Przysięgłych. Najpierw więc w rządzie trwają dywagacje, jaki kształt ma mieć ustawa wprowadzająca Ławę. Minister sprawiedliwości widzi w niej trampolinę do własnego skoku na stanowisko premiera, więc nie interesuje się szczegółami. Prawnicy uznają ją za uszczuplenie swoich kompetencji i blokują. Każdy, kto może dodaje do projektu coś, co jest dla niego wygodne. Wpływy, uzależnienia, koniunkturalizm – oto podstawowe przesłanki budowania ustawy przez polski rząd.

Gdy już nareszcie ustawa jest, trzeba znaleźć sprawę na tyle niejednoznaczna, aby głos Ławy Przysięgłych był istotny. Właśnie w Miłowie człowiek zabił dwóch mężczyzn. Jedni twierdzą, że w obronie koniecznej, inni, że było to zwykłe zabójstwo. Tyle że ci zabici byli synami miejscowego VIP-a, który dużo może, a prawo mało go interesuje. Zaczyna więc od wpływania, kto będzie w Ławie Przysięgłych, potem uruchamia cały system przekupienia kilku osób z Ławy, aby decyzja nie była jednogłówna, a potem jeszcze i jeszcze knucia ciąg dalszy.

Z drugiej strony mamy szarego pracownika zakładów mięsnych z żoną i dziećmi, którzy szukają pomocy u nieznanego, bo taniego adwokata, a ten...

Kłaniają się schematy. Tu schemat na schemacie przenoszony z rozmaitych amerykańskich kryminałów bez cienia udawania, że mogą służyć do czego innego niż kolejne powtórzenie.

*

Czytałam tę książkę z dużą życzliwością, ba, nawet z dużym zainteresowaniem, gdy akcja dotyczyła stanowienia prawa. Ale w miarę lektury moja życzliwość skurczyła się do zera. Wřęcz przykro mi, że Krzysztof Koziółek nie szanuje swoich czytelników. On nawet



z nich nie kpi. On po prostu uważa, że można im wcisnąć każdy kit. W „Ławie przysięgłych” oprócz kapitalnego pomysłu, który przez pewien czas niesie powieść, nie ma ani pogłębienia problemu winy i kary, ani refleksji nad systemem dochodzenia sprawiedliwości, ani cienia psychologii bohaterów. Są schematy i kukielki. A koniec jest czytelnikowi znany już po lekturze paru stron.

*

Krzysztof Koziółek jest autorem książek: „Droga bez powrotu”, „Święta tajemnica”, „Miecz zdrady”, „Premier musi zginąć”, „Trzy dni sokoła”, „Bóg nie weźmie w tym udziału”, „Instrukcja 0066” i zapowiada kolejne. Pisze dużo, sprawnie, potoczyście, ma ciekawe fabularne pomysły, umie wymyśleć akcję, tworzy dobre dialogi. Jego piśmarstwo ma wiele walorów, ale brakuje w nim jednego – uznania czytelnika za partnera pisarza w obserwacji świata, w poznawaniu ludzi, tropieniu zła, rozwiązywaniu kryminalnych zagadek. Obawiam się, że Koziółek uznaje za sadę: „Ludzie to lubią, ludzie to kupią, byle na chłama, byle głośno, byle głupio...”. Tyle że Wojciech Młynarski w swojej piosence kpił z takiej dewizy, a Koziółek zdaje się w nią wierzyć.

Krzysztof Koziółek, Ława przysięgłych, wydawca: Manufaktura tekstów, Nowa Sól 2015, 314 s. Książka do kupienia w księgarniach lub przez stronę internetową autora www.krzysztofkoziolok.pl. Ale nie wiem, czy warto...

KAMIL MELER

Chemia

I

Wierzę w chemię
To z niej powstaje muzyka
Kiedy godzisz się z ciszą
Atomy opadają i wiążą się w nuty
Wierzę że szkodzi
Pomarańczowe chmury z samolotów
Niebieskie ciepło dymiących maszyn
Ramiona wyciągnięte w dół. W miasta
Posłuchaj

II

Ty też
Zrodziłeś się z podatomowych drobin
Z kłótni na wszystkich poziomach nicości
Uszyty przez Boga na kształt
jego stroju codziennego
Umrzesz i się rozpadniesz
Znow będziesz stanem przejściowym
Materiałem między jednym a drugim szyciem

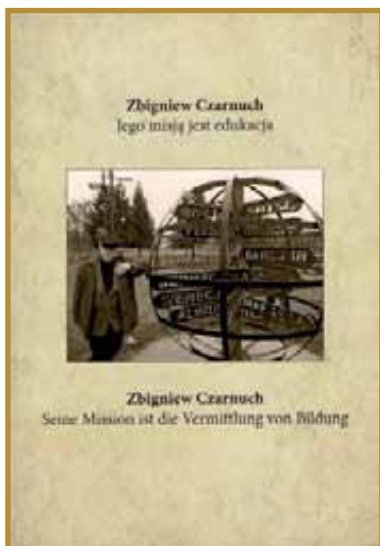
III

Wyczuwasz w tym chemię?
Ona jest. Skieruj ją na kogoś
Kostiumy muszą tworzyć związki
Z półbogów i węgla
W głowie Stwórcy
Jak i tutaj trwa
Poszukiwanie odcieni tęczy
Niekończący się półpoczątek
Stawanie się

PREZENT OD PRZYJACIOŁ

Z okazji 85. urodzin Zbigniewa Czarnucha odbyła się w Witnicy wielka uroczystość, ale najtrwalszą jej pamiątką jest książka pt. „Zbigniew Czarnuch. Jego misją jest edukacja”.

Już z tytułu wynika, że bohater zajmuje się edukacją, tyle że bardzo nietypową. Rzeczywiście kiedyś był nauczycielem, ale nawet z tamtych lat, gdy pracował w Zielonej Górze, przez licznych swoich dawnych uczniów, a teraz przyjaciół wspomniany jest przede wszystkim jako wychowawca. Ostatnie lata pracy zawodowej odbywał w Witnicy, ale i ci jego uczniowie bardziej pamiętają teatrzyk lub wycieczki niż lekcje. Od wielu lat Zbigniew



Czarnuch jest edukatorem dorosłych na temat współistnienia obok siebie Polaków i Niemców, albo lepiej dawnych, niemieckich mieszkańców naszego regionu i obecnych, polskich. No i jeszcze wszystkich uczy Witnicy, bo dla niego w tej niewielkiej miejscowości jak w soczewce odbijają się losy świata.

Uroczystość jubileuszową zorganizowało i książkę wydało Polsko-Niemieckie Stowarzyszenie Educatio pro Europa Viadrina, którego Zbigniew Czarnuch był założycielem, a potem bardzo długo „duszą i ciałem”. Na zaproszenie inicjatorów odpowiedziało 10 autorów tekstów i 10 autorów zdjęć. Ze zdjęć patrzy na nas niezwykle fotogeniczny mężczyzna, a jego urok bierze się po prostu z ekspresyjności, z bezpośredniości, ze szczerego uśmiechu, z dystansu do siebie. Bo taki jest Zbigniew Czarnuch, który potrafi bawić się nawet własnym nazwiskiem.

Natomiast wspomnienia to nie są same laurki, z nich wygląda człowiek z charakterem, czasami nawet uparciuch. Zawsze jednak z klasą i szacunkiem dla drugiego człowieka.

Zbigniew Czarnuch jest tak barwną postacią, że nawet książka nie objęła wszystkich jego odcieni, więc nie może mi się to udać w krótkim omówieniu. Dość powiedzieć, że bardzo wielu ludzi z obu stron Odry zawdzięcza mu bardzo wiele: jednym pokazał świat, innym otworzył na społeczeństwo, rozszerzał horyzonty, kazał doceniać historię, bawił, a wszystkich uczył rozumieć i szanować drugiego człowieka.

Książka jest dwujęzyczna, starannie wydana. Nad jej przygotowaniem solidnie napracowały się panie: dr Catherine Griffenow-Mewis, Grażyna Aloksa, Grażyna Oleksiak, Janina Kaliszczan oraz tłumacz Grzegorz Załoga.

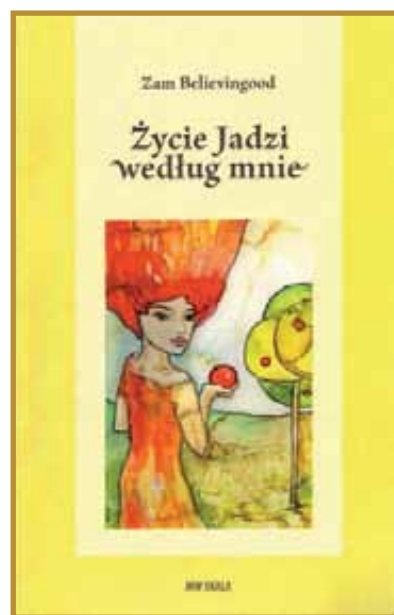
„Zbigniew Czarnuch. Jego misją jest edukacja. Zbigniew Czarnuch. Seine Mission ist die Vermittlung von Bildung”, wydawca: Polsko-Niemieckie Stowarzyszenie Educatio pro Europa Viadrina, Witnica 2015, format A-4, 72 s.

PAMIĘTNIK DORASTANIA

Gdzie ci mężczyźni? – śpiewała kiedyś Danuta Rinn, a i teraz niejedna pani tak samo wzdycha, gdy musi coś zrobić lub podejmować decyzję za mało stanowczego pana. O procesie dorastania przez czterdziestoletniego mężczyznę traktuje książka pod tytułem „Życie Jadzi według mnie”. Bohater – ważne – bez imienia, a więc każdy – opowiada w niej o swojej partnerce – Jadzi. Jest znacznie od niego młodsza, wykształcona, pracuje w domu, bo tłumaczy dialogi w serialach, zarabia znacznie więcej od niego, świetnie gotuje, lubi porządek, śniadanie podaje do łóżka. I jeszcze kocha narratora. Ideał. Prawda? Tymczasem on daje się kochać, lubi Jadzię, ale stale walczy w nim samodzielny, niezależny autsajder z członkiem związku, w który najpierw zamierza, a potem wchodzi. Bo nawet gdy Jadzia i on już mają córeczkę i kredyt na mieszkanie, ale bez ślubu, to on ciągle uważa, że mu się więcej od życia należy, że Jadzia powinna jeszcze bardziej koło niego chodzić i bardziej się domem zajmować. I że gdyby był sam, to może byłoby lepiej. „Życie Jadzi według mnie” pokazuje męski punkt widzenia na związek z kobietą. Pokazuje mężczyznę słabego, miotanego rozmaitymi rozterkami, uległego, ale ostatecznie poddającego się normom życia społecznego, bo tak wygodniej. Opowieść kończy się zapowiedzią ślubu. Ale choć autor doprowadza swojego bohatera do szczęśliwego końca, wcale nie jestem pewna, czy życie z takim mężczyzną będzie szczęściem. Myślę, że bardzo by się przydała tej książce druga część, w której narratorką byłaby Jadzia i opowiedziała o tym związku z jej perspektywy. Jaką cenę ona płaci za dom, córeczkę i partnera obok.

„Życie Jadzi według mnie” to minipowieść, a może nawet dłuższe opowiadanie, a mówię o nim nie tylko dlatego, że nie- sie ważny współczesny problem, ale także dlatego, że dobrze

i szybko się czyta. Na karcie tytułowej podano, że jej autorem jest obcokrajowiec Zam Believingood. Tymczasem realia książki są polskie, warszawskie. Bo jej autorem jest Zbigniew Moskal, niegdyś aktor w gorzowskim teatrze, który także u nas swoją książkę promował. Wydała ją zielonogórska firma MW Skala, agencja artystyczna Piotra Wowera zajmująca się produkcją przedstawień. Może więc będzie monodram według tej książki? Materiał do tego znakomity.



Zam Believingood, Życie Jadzi według mnie, wydawca: MW Skala, Zielona Góra 2014, 126 s.

PRZEWODNIK PO GORZOWSKIM PARNASIE

Bardzo dobrze się stało, że obchodzone w grudniu 2014 roku dziesiąte urodziny gorzowskiego Oddziału ZLP zostały połączone z przekazaniem do rąk czytelników niecodziennej publikacji, jaką jest wydany dzięki środkom finansowym Urzędu Miejskiego w Gorzowie Wlkp. „**Almanach poetów i pisarzy**”. To świetnie pomyślane i zrealizowane przedsięwzięcie wydawnicze, jak we wstępie stwierdza jego pomysłodawca, **Ireneusz Krzysztof Szmidt**, miało być swego rodzaju grupowym dowodem osobistym gorzowskiej organizacji pisarskiej, której istnienie trwa przecież dłużej niż ostatnie dziesięciolecie. Publikacja ta może stanowić kontynuację wydanego w 2003 roku „**Leksykonu literatury gorzowskiej**”, w którym **Krystyna Kamińska** zaprezentowała sylwetki 81 pisarzy Gorzowa. Spośród nich, co warto zauważyć, tylko dziesięcioro było wówczas członkami Związku Literatów Polskich. Dzisiaj grupa ta liczy 27 członków. Autor nie pominął jednak także tych, którzy odeszli, wśród których znaleźć możemy nazwiska tej miary co: Papsza, Zdzisław Morawski czy Kazimierz Furman. Tak więc nie będzie przesadą stwierdzenie, że książka ukazuje Parnas tej literatury tak, aby jej czytelnicy mogli się przekonać, że środowisko twórcze nadwarciańskiego miasta stanowi fenomen na mapie kraju. Jest to grupa żywa, dynamiczna, istniejąca jako środowisko w pełnym tego słowa znaczeniu. Co takiego jest w tym postindustrialnym, położonym daleko od wielkich centrów kultury miejscu, że jak na kamieniu rodzą się tu ludzie o takiej wrażliwości na moc słowa? Szukając odpowiedzi na to pytanie, nie można pominąć roli wybranego w grudniu na kolejną kadencję Prezesa Oddziału, I.K. Szmidta, jego licznych inicjatyw literackich oraz wydawanego jako pismo warsztatowe kwartalnika „**Pegaz Lubuski**”.

„**Almanach pisarzy i poetów**” ilustrowany grafiką i wzbogacony karykaturami pędzla Zbigniewa Olchowika jest zbiorem informacji o dziesięcioletniej historii Oddziału i należących do niego pisarzach. Publikacja jest przedsięwzięciem ambitnym, które wymagało od pomysłodawcy i realizatora umiejętności zgromadzenia, wyselekcjonowania i uporządkowania literackiego materiału z niezwykle bogatego dorobku pisarzy gorzowskich. Jest też, co warto podkreślić, przedsięwzięciem bardzo potrzebnym.

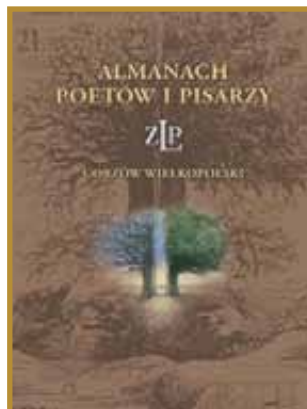
I trzeba przyznać, że w istocie książka ta stanowi godne uczczenie jubileuszu, że jest bardzo ciekawą formą przybliżenia sylwetek zarówno żyjących, jak i zmarłych twórców, których łączy co prawda legitymacja ZLP, ale różni tak wiele w zakresie uprawianych literackich form, konwencji, stylów. Przedsięwzięcie niełatwe, ale zrealizowane z pełnym sukcesem.

Znajdziemy tu, obok wspomnianych wyżej informacji biograficznych, także zdjęcia, teksty poetyckie, fragmenty prozy, recenzji, wyimki z wywiadów... Sporo tego, ale naprawdę treść ułożona została w sposób przemyślany i bardzo przejrzysty. „**Almanach**” może zatem służyć jako przewodnik ułatwiający poruszanie się w literaturze naszego regionu. Myślę, że to również świetna propozycja dla nauczycieli polonistów, którzy mogliby korzystać z niego w swojej praktyce dydaktycznej, traktując jako kompendium przydatne na lekcjach przybliżających zagadnienia związane z twórczością regionalną.

Widać wyraźnie, że autorzy wykorzystali wszelką wiedzę dotyczącą gorzowskiej literatury (i nie tylko), aby odbiorca mógł poznać konteksty tego, co dzieje się w kulturze miasta i stanowi o jej wartości.

Wydawca dysponuje także wersją elektroniczną książki w formie płyty CD. Publikację można otrzymać poprzez kontakt mejlowy: zlp.gorzow@wp.pl lub i.k.szmidt@wp.pl

Rzecz naprawdę godna polecenia!



PAMIĘCI KS. JANA

1 czerwca minęła setna rocznica urodzin **ks. Jana Twardowskiego**. Żegnaliśmy ks. Jana w 2006 roku. Był w pełni świadomy pogarszającego się z miesiąca na miesiąc stanu swego zdrowia. Wiedział, że umiera. Zresztą, czy można myśleć inaczej mając lat 91?

Kim był dla mnie, kapłana, który również pisze wiersze? Trudno to wszystko od ręki wytłumaczyć, ale to, co pisał, było niespotykaną świeżością. Pamiętam swoje pierwsze lata w klasztorze (wstąpiłem w roku 1980), gdy przez jakiś czas

przestałem pisać. Nie mogłem znaleźć nowego oddechu dla przeżyć religijnych, dla sacrum. Pomogła mi właśnie poezja ks. Twardowskiego. W sobie tylko wiadomy sposób potrafiła „ucodziennić świętość”, którą przeżywałem tylko na kolanach i ze złożonymi rękami.

Pamiętam jak dziś jego wieczór autorski w latach stanu wojennego, w kościele ojców Bernardynów w Krakowie. Te tłumy ludzi rodzinami idące na spotkanie. Jego wejście na salę, małą postać w sutannie, przygarbioną, jakby zaskoczoną i onieśmieloną tłumem. Czytał przez mikrofon, po każdym wierszu zapadała coraz głębsza cisza, nikt nie chciał mówić, pytać. Zresztą ks. Jan też unikał rozmowy, by na koniec poprosić przybyłych o podzielenie się swoimi wierszami. Wszyscy wtedy poczuli się jeszcze bardziej rodzinnie, wielu zaczęło czytać swoje wiersze.

Postanowiłem napisać pracę magisterską o jego twórczości, pochwaliłem się tym w liście. Książk Jan zawsze odpowiadał na kartkach pocztowych, krótko, swoim charakterystycznym piśmem. Udało się nam spotkać. Jego ojcowskie przytulenie było jak błogosławieństwo. 1 czerwca, równe 100 lat temu, przyszedł na świat mały Jaś Twardowski. Był najpopularniejszym polskim poetą drugiej połowy XX w. Dopiero mija dziewięć lat od jego śmierci, a gdzie czytelnicy, których porывał poezją?

W BIELI

ks. Janowi Twardowskiemu

**konfesjonały jak łobuzy
na lekcjach religii
porozstawiane po kątach
świątyni**

**ławki jeszcze niezmyte
Bogu wyznania
wypisane ładnie
i bez błędu**

**delikatny wikary
masuje kolana
przed chwilą klęczał**

**prowadzi pierwsze grzechy
pierwsze miłości
do ołtarza
wyjmuje im palce z ust**

Jerzy Hajduga

Z mieszanymi uczuciami po XXXI Krajowym Zjeździe ZLP POWIEWU MŁODOŚCI TRZEBA...

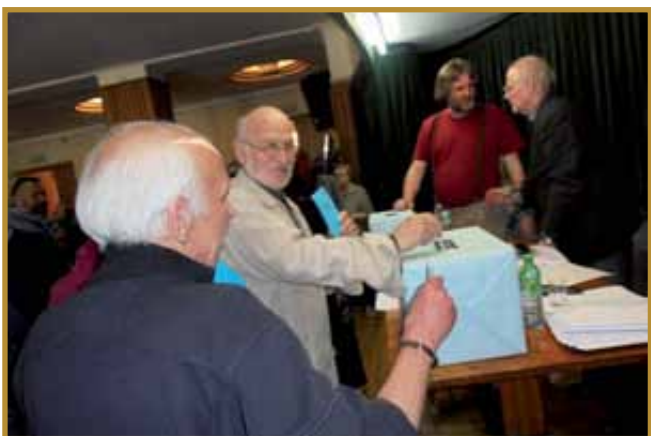
Okazuje się, że do stolicy można dojechać bardzo szybko. „W tri miga” przeniesiliśmy wzrok z gorzowskiej katedry na warszawskie drapacze chmur, nie pomijając Pałacu Kultury i Nauki. Czas przejazdu i markę samochodu, którym jechaliśmy, przemilczę z dwóch powodów. Po pierwsze: delikatnego naginania przepisów o dopuszczalnej szybkości na autostradzie, po drugie: kryptoreklamy.

Z zapasem dwóch kwadransów do wyznaczonej godziny rozpoczęcia obrad nasza gorzowska męska ekipa delegatów na XXXI Krajowy Zjazd Związku Literatów Polskich stanęła u drzwi Zarządu Głównego przy Krakowskim Przedmieściu. W jej skład wchodził: Ireneusz K. Szmidt – prezes gorzowskiego Oddziału ZLP, Krzysztof Ansilewski, Jerzy Gąsiorek, Tadeusz Szyfer i niżej podpisany.



Pogodę w sobotę 16 maja mieliśmy wyborną i także nastawienie do wypełniania obowiązku wielokrotnego podnoszenia karty wyborczej, zwanej mandatem. Wcześniej, jak to bywa na zjazdach, wysłuchaliśmy stosownych na tą okoliczność listów, kilku sprawozdań, całej procedury wyborczej i dość ostrej polemiki pretendentów do prezesowskiego stołka. Głównie ze strony zasiadającego na nim przez ostatnie pięć lat Marka Wawrzkiwicza z Warszawy i kandydata z Bydgoszczy – Dariusza Lebiody, prezesa tamtejszego oddziału. Ponadto aspiracje do objęcia najważniejszej funkcji w Zarządzie Głównym zgłosił warszawski poeta Juliusz Erazm Bolek. Więcej propozycji nie było, co mnie dość mocno zaskoczyło, a jeszcze bardziej to, że ci sami panowie kandydowali na stołek prezesa na poprzednim zjeździe.

Wybory, tak na poważnie, mogły się rozegrać tylko pomiędzy obecnymi: M. Wawrzkiwiczem i D. Lebiodą. Kandydatura Juliusza Erazma Bolka spłynęła tylko na papierze. Prawnie jest



to dopuszczalne. Jednak zainteresowany stanowiskiem kandydat, z jakiegoś... ważniejszego powodu, fizycznie uczestniczyć w wyborach nie mógł, to i skreślił się niejako sam, jeszcze w przedbiegach, a głosowanie tylko to potwierdziło.

Dwaj obecni walczyli na argumenty. Ustupający, pełniący tę funkcję od trzech kadencji, wnosił real doświadczenia i margines możliwości. Kontrkandydat, podobnie jak przed czterema laty, ponad przeciętną wizję łatwego pozyskiwania środków materialnych i możliwość bardziej przyjacielskich stosunków z wszystkimi, od których cokolwiek na statutową działalność związku można uzyskać. Język, jakim się posługiwali w dyskusji, był na szczęście bardziej literacki niż ten, który dochodzi nas z sali sejmowej, ale o pozwie sądowym jednego z panów przeciwko drugiemu wszyscy delegaci też usłyszeli. Ostatecznie na 120 oddanych głosów Marek Wawrzkiwicz uzyskał – 89, a Dariusz Lebioda – 30. Jeden głos uznano za nieważny.

Uczestniczyłem w zjeździe i wyborach drugi raz, mogę zatem podzielić się drobnymi spostrzeżeniami odnoszącymi się niejako do tych poprzednich. Na obecne przybyło 128 wydelegowanych ze 153 zgłoszonych. Być może 25 nieobecnych, nie wiadomo z jakich powodów, to młodzi członkowie Związku. A może przeciwnie, to grupa literatów potwierdzająca wiekowo znaczną większość obecnych. Z upływem lat przybywa literatom doświadczenia, dorobku twórczego i, daj Boże, mądrości. To ważne atuty. Ale zdaje mi się, wierszopisowi na pięćdziesiątym dziewiątym kilometrze życia, że związek potrzebuje dopływu młodej krwi. Na tym i poprzednim zjeździe nie zauważyłem zbyt wielu młodszych ode mnie. Jedną Agnieszka Tomczyszyn-Harasymowicz z Oddziału w Opolu, prezes szczecińskich literatów Leszek Dembek czy Zbigniew Milewski z Warszawy – wybrany sekretarzem generalnym ZLP, wiosny nie czynią. Kto wie, może brak dopływu młodych to zasługa komisji kwalifikacyjnej odpowiedzialnej za przyjęcia do ZLP? Przez jej sito w ostatnim naborze ze 189 kandydatów



przesiano zaledwie 69 osób. Wychodzi, że 120 nie spełniało wymagań co do poziomu literackiego. Z tego powodu w trakcie zjazdu wnioskowano, aby kapituła decydująca o przyjęciu do ZLP składała się również z przedstawicieli terenowych oddziałów i aby szerzej definiowała, co jest powodem odmowy przyjęcia. Członkowie oddziałów, wchodząc do takiej komisji, mogliby zaświadczyć o niejednym literackim talencie, któremu komisja poprzez swoją odmowną decyzję może – najdelikatniej mówiąc – już po pierwszych udanych lotach podciąć skrzydła. I krew zjeździe...

Myszę, że warto byłoby wrócić do prerabianego kiedyś sposobu, czyli stażu kandydackiego, który motywuje do doskonalenia warsztatu, do wydawania kolejnych, a wartościowych książek.

Związkowi Literatów Polskich potrzebni są młodzi pisarze z wizją na zaś, dla dobra jego trwania i wnoszenia rześkiego powiewu.

Roman Habdas

OD MARCA DO CZERWCA

Od promocji poprzedniego „Pegaza Lubuskiego”, tj. 11 marca, minęło trochę czasu i trochę się w tym okresie działo. Tegoż dnia na dwie godziny przed promocją zwołano członków Związku Literatów Polskich na zebranie sprawozdawczo-wyborcze. Na czwartą kadencję prezesem Zarządu Oddziału wybrano **Ireneusza K. Szmida**, stanowisko jego zastępcy Marek Grewling odstąpił **Agnieszce Kopaczyńskiej-Moskaluk**, skarbniczką ponownie została **Krystyna Caban**, do spraw współpracy z sąsiadami zza południowej miedzy – **Krzysztof Ansilewski (ps. Jerzy Alski)**, a z wolną teką członka Zarządu będzie dbał o środowisko literackie Gorzowa **Roman Habdas**. Komisji Rewizyjnej będzie przewodził **Zygmunt Marek Piechocki**. Na majowy XXXI Zjazd ZLP w Warszawie wybrano delegatów: **K. Ansilewskiego, J. Gąsiorka, R. Habdasa, I. K. Szmida i T. Szyfera**. Relacja na str. 20. W marcu przypadał Międzynarodowy Dzień Teatru i dzień ten uczczono na wiele sposobów. W Klubie „Pogodna Jesień” wspominała aktorkę **Ludwinę Nowicką**, która w gorzowskim teatrze pracowała 10 lat i zajmowała się także różnymi grupami recytatorskimi i teatralnymi, zaszczepiając adeptom miłość do teatru. Natomiast w Teatrze im. J. O. Sterwy pokazano spektakl „R ewolucja balonowa” Julii HOLEWIŃSKIEJ w reżyserii **Aliny Moś-Kerger**. Ten spektakl to obraz transformacji w Polsce po 1989 roku pokazany z perspektywy dzisiejszych 30-latków. Bohaterka wraca do swoich przygód z... nutellą i gumą do żucia, do wyjazdów z rodzicami na saksy. **Kamila Pietrzak-Polakiewicz** ładnie narysowała sylwetkę rozdwojonej postaci – dziewczynki pytającej o wszystko i zranionej kobiety z dzieckiem, której w życiu coś nie wyszło. Jest to spektakl pełen emocji, trochę z tezką i trochę zabawny.

W tym roku przypada też 60. rocznica Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego (OKR). I jest nieco wspomnieniowo... Autorem tej idei był **Jerzy Mikke**. Pierwszy konkurs poświęcony był **A. Mickiewiczowi**. Ale w następnych latach koło się rozepędzalo i zataczało coraz szerszy krąg. Dołączali coraz to no wi. „W recytowaniu poezji widzę ogromne oparcie dla literatury...” – powiedziała przed laty **Wisława Szymborska**. OKR to zawsze była marka. Przez lata był to najważniejszy konkurs recytatorski dla uczniów szkół ponadpodstawowych i dorosłych, realizowany w kilku kategoriach (recytacja, poezja śpiewana, teatry jednego aktora i „wywiezione ze słowa”). A dzisiaj *wszystko płynie*, jak oznajmił mędrzec.... W Gorzowie było niewielu uczestników. Może to taki znak czasów?

W tym roku **Beata P. Klary** wymyśliła jeszcze jedną imprezę związaną z literaturą pn. „**Literat i jego...**” np. wydawca, rysownik, muza... Pierwsze spotkanie odbyło się w styczniu. W marcu w Kamienicy „Lamus” gościli p. **Tadeusz Olszewski** – literat z Warszawy i p. **Magda Koperska** – właścicielka wydawnictwa „Anagram”, córka **Jerzego Leszina-Koperskiego** znanego poety z pokoleń „Hybrydy” i wydawcy. Impreza po wstała z chęci zadawania pytań, spotkania się z literatami nieco inaczej, pogadania o literaturze... W kwietniu natomiast gości-

liśmy w naszym gródzie, po latach nieobecności, aktora i lektora **Zbigniewa Moskala**. Tym razem jako autora książki pt. „**Życie Jadzi według mnie**”. Spotkanie w „Lamusie” prowadziła p. **Renata Ochwat**. Autor opowiadał o tym, jak zbierał materiały do książki, o tym, że ma łatwość pisania i dlaczego tę książkę napisał w ogólne i dlaczego pod pseudonimem (**Zam Believingood**). Według autora jest to książka o miłości do drugiego człowieka, o miłości zmarnowanej...

W kwietniu odbyła się też kolejna edycja Lubuskiego Konkursu Recytatorskiego dla uczniów szkół podstawowych i gimnazjów. Chodzi o to, aby idea recytacji (w dobie komputerów, komórek itp...) nie zanikła, aby młodzi ludzie sięgali po teksty uznanych mistrzów pióra oraz po te mówiące o tym, co jest im bliskie. W poszczególnych grupach wiekowych zaprezentowało się po kilkunastu uczniach. Poziom uczestników mniej niż przeciętny.

„**Pisać każdy może...**”. Kilka książek (chyba sześć) napisał znany aktor **Jan Nowicki**, z którym 15 kwietnia br. w WiMBP odbyło się spotkanie. Rozpoczęło się bardzo punktualnie (to piękna cecha). Pani **Mariola Merxmüller-Jakubik** tak go przedstawiła: „Wybitny aktor teatralny i filmowy. Charakterystyczna postać. Autor książek, felietonów i piosenek. Wyjątkowy gość”. Spotkanie było bardzo lekkie i dowcipne. Pan Jan Nowicki opowiadał o swoim aktorstwie i o pisaniu. Bo literatura według niego to najważniejsza ze sztuk i zawsze był z nią za pan brat. Czytanie to jakby fruwanie... I zawsze jest to pewniak aktorski sparszywiak. Napisał też kilka piosenek, do których muzykę skomponował **Zbigniew Preisner**, a powstawały one zazwyczaj na imieniny **Piotra Skrzyneckiego**. Spotkanie zakończył tak: „Literatura i teatr jest obok i w każdym z nas. Kochajcie się, czytajcie książki, także i moje...”.

16. kwietnia w restauracji „Łubu Dubu” odbyły się kolejne „**Literackie Potyczki**”. Tym razem było to spotkanie z **Joanną Starkowską i Piotrem Tenczykiem**. Obecny był też wydawca ze Szczecina **Cezary Sikorski** („Zaułek Wydawniczy”). Potyczki wymyśliły i prowadzą je **Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk** i **Beata P. Klary**. Impreza ta to: potyczki na słowa między bohaterami wieczoru, turniej jednego wiersza i dyskusja na temat twórczości zaproszonych gości. W turnieju laureatką została **Paulina Waszkiewicz**.

Od kilku lat przy bibliotekach istnieją Dyskusyjne Kluby Książki. Ja należę do klubu przy Wypożyczalni Główniej WiMBP. Spotykamy się raz w miesiącu i dyskutujemy na temat wybranej książki. Tym razem był to „**Niemiecki taniec**” **Marii Nurowskiej**. Spotkanie prowadziły dwie panie: **Jadwiga Paradowska i Jola Bardeli**.

Dyskusyjne Kluby Książki to także spotkania autorskie. 27 kwietnia odbyło się takie z p. **Izabelą Sową**, powieściopisarką, autorką tzw. „Owocowej serii: „**Smak świeżych malin**”, „**Cierpkość wiśni**” i „**Herbatniki z jagodami**”. Autorka, absolwentka UJ, dr psychologii, w swoich



Od góry: Piszący aktor J. Nowicki; Potyczki w kwietniu: J. Starkowska kontra P. Tenczyk; literat T. Olszewski i jego wydawczyni M. Koperska; gorzowscy poeci czytają Sztandynę w filii WiMBP na Słonecznej; aktor Zb. Moskał znów w „Lamusie” ale jako pisarz; powieściopisarka I. Sowa – gość DKK (WiMBP)

książkach opisuje świat 20-30-latków, którzy borykają się z różnymi problemami życiowymi, np. brakiem akceptacji w rodzinie, niską samooceną, brakiem perspektyw. Ceniona jest za styl, cięty język i pogodę ducha.

Maj kiedyś był miesiącem w całości poświęconym kulturze.

Odbывały się spotkania autorskie, kiermasze, dni poświęcone pracownikom kultury. Ale to już przeszłość.

Na **Uniwersytecie Trzeciego Wieku** odbyło się bardzo wzruszające spotkanie z poetą **Romanem Habdasem**, członkiem ZLP, autorem trzech tomików poetyckich: „**W ramionach Drawy**”, „**Żucie szczeni**” i „**Z gliny ulepieni**”. Spotkanie, które prowadziła **Krystyna Kamińska**, nieco skreśliło w pewnym miejscu na trochę inne niż autorskie tory. Pan Roman opowiedział słuchaczom historię obecnego swojego zajęcia. Wspólnie z żoną od dwóch lat pełnią funkcję zawodowej rodziny zastępczej dla małej chorej Anulki. Oczywiście przeczytał także kilka swoich starych i nowych wierszy. W planach ma wydanie kolejnego tomiku wierszy albo opowiadań. Miasto przyznało ZLP niewielką (roczną) dotację (nawet nie na jeden tomik). I fundusze te zostaną przeznaczone na książki p. Romana Habdasa. Na koniec tego spotkania opowiedział jeszcze jeden epizod ze swojego życia. O pewnym projekcie, który wspólnie z J. Gąsiorkiem zrealizowali dla hospicjum w Wilnie. Jest to Droga Krzyżowa zawieszona na murze przy hospicjum (stacje wykonane przez J. Gąsiorka, a dwuwiersze pod stacjami przez R. Habdasa). Projekt obejmował także wydanie książeczek w wielkości płyty CD, które rozprowadzane są jako cegiełki wspierające hospicjum.

12 maja obchodziliśmy **Ogólnopolski Tydzień Bibliotek**. Na to święto do WiMBP zaproszono p. **Krzysztofa Bandołę-Skierskiego**, bibliotekarza Książnicy Synodu Kościoła Ewangelicko-Reformowanego w Warszawie, oraz **Zdzisława Linkowskiego**, gorzowskiego historyka i regionalistę. Spotkanie rozpoczęło się pokazem filmu o Bibliotece Synodu. Film przybliżający różne wiadomości z dziedziny historii biblioteki, mówi o zbiorach, o korzystających ze zbiorów i o ważnych ludziach. Jest to jedyna tego typu placówka w tej części Europy. Jej zbiory to kilka tysięcy książek z zakresu teologii ewangelickiej, ze szczególnym uwzględnieniem nurtu reformowanego. Są tu publikacje historyczne poświęcone reformacji w Polsce, dziejom kościoła ewangelicko-reformowanego, polskiego i litewskiego ewangelizmu z XVI - XX wieku. A także czasopisma, fotografie, zbiory medioteki i publikacje dokumentujące współczesną działalność. Gorzowskie spotkanie dotyczyło przede wszystkim XVI-wiecznego cymelium – 12-języcznej **Poligloty norymberskiej Eliasa Huttera**, wydanej w 1595 roku w Norymberdze. Dzieło zawiera kompletny tekst Ewangelii (Mateusza, Marka, Łukasza i Jana) m.in. w języku polskim. A na koniec mogliśmy to arcydzieło zobaczyć na własne oczy, na żywo! Drugim tematem była postać **Jana Daniela Janockiego**, przedstawiona przez p. **Zdzisława Linkowskiego**. Janocki był to wybitny bibliotekarz Biblioteki Załuskich. Urodził się w Międzyzdrojach w 1720 roku (zm. w Warszawie w 1786 r.), pełnił też funkcję kanonika katedralnego kijowskiego. Pracując w Bibliotece Załuskich, sporządzał katalogi biblioteczne i aukcyjne, porządkował księgozbiór i pracował nad słownikiem biobibliograficznym. Opracował też szereg cennych publikacji (słowniki, katalogi biblioteki i cymeliów, kroniki życia literackiego i inne). W Gorzowie ma swoją ulicę na nowym Górczynie.

Maj to także przeglądy Amatorskiego Ruchu Artystycznego. W przeglądzie dziecięcych zespołów teatralnych w szranki stanęły dwa zespoły, ze Studia Teatralnego przy Teatrze J. Osterwy i z MDK.



W „Lamusie” literat J. B. Zimny i jego rysownik K. Schodowski



A 20 maja w sali KIK wystąpił z zespołem teatralnym II LO w Gorzowie w programie poetyckim „**Samotny wśród ludzi**” wg poezji **Stanisława Barańczaka**, w wyborze i reżyserii **Anety Gizińskiej-Hwozdyk**. Według Barańczaka „poezja zawsze jest pretekstem”. Na wstępie p. Aneta zwróciła uwagę na to, że jego twórczość doty-

czy przede wszystkim człowieka zagubionego w przetrzeźnieniu i w świecie. Człowieka z lękami i ograniczeniami. A spektakl to pewna zabawa z wizerunkiem człowieka odbitym w lustrze. Lustro nie kłamie, ciągle to jestem ja...

21 maja odbyło się kolejne spotkanie z cyklu „**Literat i jego...**”. Tym razem i jego rysownik. Było to trzecie spotkanie w tym cyklu i ostatnie w „Lamusie”, bo i on odchodzi do... lamusa. A my spotkaliśmy się z **Jerzym Beniaminem Zimnym**, poetą z Poznania, i **Krzysztofem Schodowskim** z Warszawy, rysownikiem, który rysuje twarze, bo go „kręca”. Nieco je przerabia, ale w ten sposób ukazuje swoje emocje. Interesuje się rysunkiem czarno-białym. Ostatnio zajął się także malarstwem, pisze dziennik i próbuje sił w poezji. A p. Jerzy pierwszy wiersz napisał w szkole podstawowej. Olśnienia doznał, jak przeczytał w oryginale Jesienina. Potem było wojsko i wtedy po wstał pierwszy tomik, swoisty zapis tamtych czasów. Był członkiem Korespondencyjnego Klubu Młodych Poetów, pisał też recenzje... do pisania poezji wrócił w 1990 roku. Ceni dobry język. Uważa, że wiersz to dzieło sztuki... Na koniec obejrzelśmy film o poezji z poznańskiego Górczyna **Wincentym Różańskim**, który wydał 23 książki, był też rysownikiem i często mówił, że „poezja to odskocznia od egzystencji”.

Pod koniec maja razem ze studentami UTW i p. Krystyną Kamińską wybrałam się na wyjazd do „Korsakówki” do Nadleśnictwa Kłodawa. Jest tu pięknie wyremontowany budynek, w którym znajduje się sala edukacyjna i tzw. kącik pamięci **Włodzimierza Korsaka** (1886-1973), pasjonata lasu, autora książek przyrodniczych i podróżnika. Pierwszy w Gorzowie członek ZLP. Od 1945 roku przez 20 lat mieszkał przy ul. Słowackiego (jest tam tablica pamiątkowa) i przy ul. Matejki. Ostatnią książkę pt. „**Las mi powiedział**” napisał w Lubniewicach.

W dniach od 28 maja do 5 czerwca br. odbywały się w Gorzowie i Garbiczu XXXIII Interdyscyplinarne Warsztaty Artystyczne realizowane przez gorzowski RSTK.

Oficjalnie rozpoczął tę imprezę tzw. „Slam poetycki” w MCK. Był to pierwszy dzień warsztatów. Oficjalnego powitania dokonał p. **Czesław Ganda** i zaproponował formułę imprezy. Odbyło się losowanie numerków i w ten sposób powstały pary. Jurorem była publiczność. Z każdej pary osoba, która z dobywała większą ilość głosów, przechodziła do następnej rundy, aż do finału. Laureatem Wielkiego Pieroga został **Ferdynand Głodzik**, zwyciężając w finale **Beate P. Klary**. Każdy uczestnik dostał pierożka z jabłkiem, serwowanego przez Firmę ZPU „Duet” **Danuty Kozioł** z Gorzowa.

Na następny dzień w WiMBP zaplanowano koncert „Ciepło żarem ociera dni” i „Noc poetów”. Koncert składał się z wierszy wykonywanych przez uczestników warsztatów (**Tadeusza Dziadosza**, **Janinę Jurgowiak**, **Ferdynanda Głodzika**, **Krystynę Woźniak**, **Barbarę Pałę** i **Jerzego Milczarka** (gitara), oraz **Romana Habdasa** i **Grażynę Zarebską**). Piosenki śpiewały: **Oliwia Królikowska** i **Milena Rudzka**. Scenariusz i reżyseria – **Czesław Ganda**. Drugą część to Noc Poetów. Tutaj ko-



lejno a nawet kilkakrotnie, mógł się zaprezentować każdy poeta obecny na imprezie. „Noc...” rozpoczęła **Irena Zielińska**.

Na UTW zorganizowano 29 maja spotkanie autorskie poety Marka Wawrzekiewicza, które poprowadził szef gorzowskiego Oddziału ZLP Ireneusz K. Szmidt. Spotkanie nosiło tytuł „Literaci i miłość”. Relacja na sąsiedniej szpalcie.

XXXIII Interdyscyplinarne Warsztaty, które zrealizowano w czterech grupach (foto-filmowa, muzyczna, plastyczna i literacka), zakończyły się w dniu 5 czerwca w sali MCK biesiadą podsumowującą. W programie były wystąpienia członków sekcji literackiej, recytacje wierszy doskonałych na zajęciach z Markiem Wawrzekiewiczem oraz Ireneuszem K. Szmidem, nowości poetyckie w interpretacji autorów, prezentacja materiału filmowego oraz zestawów zdjęć (**Sylwester Turcki, Aga Latoszek i Emilia Wieczorek**), piosenek opracowanych muzycznie przez **Cz. Gandę** (śpiewały **Marzena Wieczorek, Milena Rucka, Kasia Kłos, Danuta Zasada**), a także prezentacja prac plastycznych powstałych podczas warsztatów. Wystąpili także konsultanci. Na zajęciach nie stawiali ocen, starali się pomóc, podpowiadać sposób rozwiązywania problemów warsztatowych. Każdy z uczestników jest osobą dorosłą. Ma już ukształtowany gust i poczucie, że chce i musi coś powiedzieć własnym głosem.

Ewa Rutkowska



LITERACI I MIŁOŚĆ

Spotkanie Marka Wawrzekiewicza prezesa Zarządu Głównego ZLP, ze słuchaczami Uniwersytecie Trzeciego Wieku

Po raz czwarty Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury w Gorzowie Wlkp. gościło na swoich warsztatach Marka Wawrzekiewicza jako konsultanta literackiego. Przy tej okazji gorzowski UTW zaprosił swoich członków na spotkanie z prezesem Zarządu Głównego ZLP. W literackim rendez-vous mogli wziąć udział wszyscy, nie tylko przynależni do UTW i warsztatowicze. Prowadzenie spotkania przypadło w udziale gorzowskiemu prezesowi Oddziału ZLP Ireneuszowi K. Szmidtwi.

Marek Wawrzekiewicz, jako że znalazł się w gronie ludzi dojrzałych, mógł z większą swobodą, co podkreślił, o miłościach mówić. Zaczął jednak od przeczytania jednego z ostatnich, uznanego wiersza pt. „Zwirownia”, w którym wraca do przeszłości, do łakomych na dziewczęce wdzięki chłopców rozbierających oczami przychodzące kąpać się, znajome im panienki. „Poezja zawsze eksploruje dwa tematy główne: miłość i śmierć” – mówił nasz gość. No i sam nie skąpi sobie penetrowania owych obszarów.

Kiedyś zachwycała Wawrzekiewicza poezja baroku wychodząca spod pióra Jana Andrzeja Morsztyna, szczególnie zaś sonet pt. „Na krzyżyk na piersiach pewnej panny”: „(...) zmarli podnoszą się w grobie, widząc, jak kiedyś, ten, co żywot daje, krzyż między dwiema wystawion łotrami”. Uznaje ową poezję za, nie tylko polskie, arcydzieła.

Według prowadzącego spotkanie Ireneusza K. Szmidta, wiersze Marka Wawrzekiewicza z tomiku pt. „Dwanaście listów”, wydanego w 2005 r. w Łodzi przez Wydawnictwo Astra, są rewelacją współczesnej poezji miłosnej. W interpretacji Irka usłyszeliśmy kilka z nich, m.in.: „List lorda Henry’ego do Jej Królewskiej Wysokości Elżbiety I”: „(...) Wygnany – to znaczy skazany na tęsknotę / Za moimi dobrami w Yorkshshire, za / Twoimi kolanami, na których / W swej łaskawości pozwałałaś mi / Składać głowę. A wtedy Twoje koronki / Szumiły jak dębowe lasy. Po nich / Wędrowaliśmy we dwoje. Twe suknie / Śpiewały jak potoki, w których poiliśmy konie / Mniej od nas spragnione”.

Marek Wawrzekiewicz zakończył pierwszą część spotkania autorską interpretacją i wyjaśnieniem powstania wiersza pt. „List spod płyty nagrobnej – Estonia, XVIII wiek”, który zadedykował swojemu estońskiemu koledze Aarne Puu. Wybrany urywek: „Ester, moja przebiegła kochanka, napominała mnie: / – Nie grzesz z innymi, twoje obfite nasienie / Zostaw we mnie. W alkwie / Sztwyne, szeleszczące prześcieradła czekają / Byś położył mnie na nich. Nikt tak / – Mówiła Ester – nóg nie zadziera. Nikt / Tak nie będzie kręcił kuprem pod tobą”.

W drugiej części gość mówił o kondycji ZLP, o literatach z okresu PRL-u, w który jak wiadomo on sam się wpisuje. Bolałącą obecnych czasów, podkreślał, jest zdobywanie środków na działalność statutową, także pozyskiwanie tzw. grantów na działania typu: Warszawska Jesień Poezji. Sumując spotkanie dodał, że jak dla niego: „Książka na zawsze pozostanie najważniejszym dorobkiem kultury”.

Roman Habdas



Czasopismo literackie pod auspicjami WiMBP i ZO ZLP w Gorzowie Wlkp.

Red. nac.: **Ireneusz Krzysztof Szmidt**, tel. kom. 501 520 227; Sekretarz red.: **Danuta Zielińska**. Współpraca: **Krystyna Kamińska, Marek Grewling, Barbara Dominiak, Beata P. Klary, Agnieszka Moroz, Ewa Rutkowska**.

Grafika i rysunki: **Zbigniew Olchowik**. Zdjęcia: **B. Bloch, A. Długołęcka, Cz. Ganda, F. Głodzik, A. Haegenbarth, B. P. Klary, A. Latoszek, K. Ligocki, Zb. Sejwa, J. Sychała, I. K. Szmidt, S. Turcki oraz archiwum wydawcy i autorów**. Wydawcy: **Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zb. Herberta**, ul. gen. Wł. Sikorskiego 107, 66-400 Gorzów Wlkp., e-mail: informacja@wimbp.gorzow.pl i **ZO ZLP**, ul. J. D. Janockiego 31, 66-400 Gorzów Wlkp., e-mail: i.k.szmidt@wp.pl; www.zlp-gorzow.cba.pl. Skład komputerowy: **Daniel Besta i I. K. Szmidt**.

Marek Wawrzekiewicz. Absolwent Wydziału Historii UŁ, tłumacz władający kilkoma językami, wydał m.in. antologię poezji rosyjskiej „Pamięć. Poeci St. Petesburga”. Ponad 30 lat pracował jako dziennikarz radiowy i prasowy. Był redaktorem naczelnym pism literackich „N owo Wyraz” i „Poezja”, oraz tygodnika „Kobieta i Życie”. W swoim dorobku twórczym ma ponad 30 książek. Są wśród nich tomy wierszy, powieść, szkice teatralne, antologie i książki przekładowe. Do ważnych tomów wierszy należą m.in. „Późne popołudnie”, „Każdą rzeką nazywa się Styks”, „Eliada i inne wiersze”, „Smutna pogoda”, „Coraz cieńsza nieć” oraz „Dwanaście listów”.

Ferdynand Głodzik

(laureat Wielkiego Pieroga na poetyckim slamiu 29 maja
w MCK za wiersz „Maruda”)

MARUDA

Gdy inni wyczyniają cuda,
staję przed wami – Smerf Maruda.
Wolę się zawsze trzymać z dala,
by nie hołdować, nie wychwalać.

Nie cierpię światła ni nagłośnień,
metafor, rymów i przenośni,
nie lubię gitar, fletów, lutni,
ni asonansów, ni przerzutni.

Nie znoszę żadnych konsultacji,
daktyli i transakcentacji,
dość poetyckich mam programów,
nocy poetów oraz słamów.

Nie chcę malarstwa i grafiki,
nie lubię śpiewu ni muzyki,
nie chcę poetów, literatów,
nie cierpię całych tych warsztatów!

Nie lubię nocnej ciszy błogiej,
nie lubię tych, co ćwiczą jogę,
nie lubię tych, co robią zdjęcia.
Dlaczego? Nie mam wprost pojęcia!

PRZYPADŁOŚĆ

Firletka smutna chodzi od rana:
Jestem rozbita i poszarpana,
boli mnie głowa, pałają lica,
coś mi dolega, może bukwica?

Trudno powiedzieć, co to być może,
idź do lekarza, radził ostrożnie,
gdy ją zaniedbasz, gdy się zadawni,
może się z tego zrodzić brodawnik.

Poszła, choć miała głowy zawroty,
a lekarz pobrał krew i sto złotych.
Miał ją wyleczyć, bez żadnej łaski,
lecz to był zwykły krwiściąg lekarski.

Zbigniew Murawski

MUCHA

Co to za stwór... ot taka mucha
natrętnie fruwa przechera
kiedy przysiądzie to tylko słucha
a potem łapki zaciera

Ma silne nerwy ten co ją znosi
żeby nie palnąć gazetą
ta jak się dorwie „zaraz” przynosi
i nie jest to jej zaletą

Bydlę na skrzydłach lata bez sensu
nasra na wszystko, albowiem
na portret przodka i coś z kredensu
bo tylko szkodzić jej w głowie

Ale raz jeden zda się potrzebnym
większy jest zysk niżli straty
kiedy odwiedzi durnia łeb zgrzebny
dwie sprawy na raz można załatwić:
...jednym walnięciem łopaty...



Mirek Wielgoliński

NA CHEŁSZCZĄCĄ

Rześki wietrzyk liście trąca
Chelszcząc wije się Chelszcząca
Taka rzeczka, niezbyt duża
Troszkę szersza niż kałuża

Swym szelestem zwodzi uszy
Stopy skleja brzegiem grząskim
Stawia czoło letniej suszy
Choć korytem płynie wąskim

Czcząc zwyczaję przyrodnicze
Trzciny katedry rozprzestrzenia
Kreśli światy malownicze
Ścieli kwiecica powonienia

Pod strzelistym drzew dachowiem
Szeleszczący nurt przemyka
Z nazwy trudna jest w wymowie
Lecz z pamięci nie umyka.

(01.06.2013)

Autorska książka obydwu satyryków – Zb. Murawskiego i M. Wielgolińskiego pt. „M&W czyli Kabaretowa Spółka Autorska z nieograniczoną nieodpowiedzialnością” w oprac. I.K. Szmidta ukaże się we wrześniu 2015 r.